N. 35. WARSZAWA d. 21 Sierpnia (2 Września) 1871 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

TRZY SONETY.

I.

Nad strumieniem schylona siedziała marząca
I była jasna, czysta, jakby Anioł biały,
U stóp jéj wodne lilje swe główki schylały
W cieniu drzew od rannego ukryte gorąca.

Na dziewiczem jéj łonie była lilja drżąca,
Na niéj porannéj rosy kropelki błyszczały;
Kwiatki się w zwierciadlanéj wodzie przeglądały
I patrzyły, jak Zefir powierzchnię zamąca.

I było cicho wkoło... zbliżam się w milczeniu.
Spostrzegła mnie i uśmiech na usta zawitał,
Usiadłem tuż koło niéj, i w cudnem spojrzeniu

Wyczytałem pytanie... jéj wzrok mię zapytał,
I drzewa wkoło cichym pytały szelestem,
Dlaczego zawsze przy niéj tak milczący jestem?

II

„Kiedy jestem przy tobie, staram się daremnie,
Utrzymać jakiś wątek zwyczajnéj rozmowy,
Bo tych uczuć nie zdołam już wyrazić słowy,
Które się w mojem sercu zrodziły tajemnie.

Ty urok niewymowny lubo wlałaś we mnie,
Ty jakiś świat odkryłaś jasny, lazurowy,
Jakiś czar mię otoczył niepojęty, nowy..
Czyż się nic w twojem sercu nie zbudzi wzajemnie?

Czyliż na to mam tonąć w upojenia niebie,
I myślą się unosić w krainy marzenia,
Aby znowu powrócić do cierni cierpienia

I świat ten znienawidzieć, znienawidzieć siebie,
I znowu być skazanym na męki zwątpienia,
Za to tylko, o luba! że ja kocham ciebie?”

III.

Uśmiechnęła się smutnie i paluszek mały
Do ust mi przyłożyła, jakby zagniewana,
I schyliła się ku mnie jéj główka świetlana,
Jéj serduszko tętniło, jéj skronie pałały

I wyrzekła cichutko: „luby, kocham ciebie!”
I nie była już więcéj tak jak dawniéj pusta,
W oczach przeświecał zachwyt, a szemrzące usta
Szeptały słowa szczęścia... duch ukląkł w niebie.

Czemuż naszego szczęścia takie krótkie chwile?
Nikną jak gdyby miały skrzydełka motyle,
I otworzone niebo znów się mgłą otoczy,

I zachwycone oko znów się łzą zamroczy,
I przemija to szczęscie, jak sen, jak marzenie,
I zostaje łza w oku, a w sercu... wspomnienie!

St. Grudziński.

WINCENTY POL

JAKO PROZAIK,

Studjum K. Wł. Wojcickiego.

(Dalszy ciąg.)

II.

Mało utworów możemy wyliczyć w literaturze naszéj, któreby zbliżały się chociaż do *Obrazów* Pola. Mamy wprawdzie piękne i artystycznem piórem, a z całą prawdą malowane obrazki (1), ale są to tylko pojedyncze —nigdy nie mieliśmy tak przepysznéj *Galerji*, jaką od razu przedstawia naszym oczom twórca *Mohorta*.

W malowidle świata na oko martwego, żaden szczegół niepominięty, każdy pochwycony i pomieszczony we właściwem miejscu, składa się na całość obrazu, który nabiera dopiero właściwego sobie życia i czujemy w nim właściwy

„Oddech natury.”

Na tle każdego występuje człowiek, i podnosi go, ożywia, przyciąga do siebie.

Dla czytelnika, który samego dzieła nie zna, trudnem byłoby pojęcie tego artyzmu, tego uroku czarownego, jaki Pol rozlewa w swoich opisach, gdybyśmy tylko ogólnikami się ograniczali. Treść ich tak różno-stronna, znagla nas do więcéj szczegółowego sprawozdania, pochwycenia tych barw rozmaitych, tak żywych, tak wiernie z przyrody przeniesionych na karty téj księgi, które razem połączone stanowią jakby wspaniałą tęczę, co po burzy lub deszczu rozwija się w półkole i zachwyca nasze oczy.

Pójdziemy w te strony świata śladami autora, któremi nas za sobą powabia: zatrzymamy się na najwydatniejszych obrazach, a najwięcéj oddalonych od siebie,—mówić bowiem wyłącznie o każdym nie możemy, gdyż studyum nasze zamieniłoby się w oddzielną księgę.

Stajemy najprzód nad ponuremi wybrzeżami Baltyckiego morza: Płytkie są i piaszczyste, a prze-

1) Mamy tu na myśli Zygmunta Kaczkowskiego, Obraz zamieci śnieżnéj — Walerego Wielogłowskiego, Powodzi wiślanéj, i kilka innych jeszcze obrazków.

tkane często wielkiemi bryłami skandynawskiego granitu, na których się fale morskie łamią i pienią, kiedy wiatr wieje z północy. Pomiędzy temi zaspami ruchomemi piasków, leżą małe jeziorka lub podłużne bagna, które w drobne strugi przechodzą, tworząc na swem ujściu znowu płytkie, przymorskie jeziora.

Brak roślinności uderza tu widocznie: bagna porastają tylko kępami chudego *skrzypiu*, jeziora tylko po brzegach tatarakiem morskim.

Wody są czyste i przejrzyste, ale rybki tylko niewielkie migną się czasami gromadnie, kiedy powierzchnię jeziora morska musnie rybitwa.

Skrzeku żab nie słychać, i na całem piaszczystem pasmie wyżyn nie ma już żab; tak też daleko osiadają wyżynę rybacy morscy, oddzielnego rodu i pochodzenia skandynawskiego obyczaju, jak daleko żaby nie słychać. Chaty ich budowane z kamienia i potrzaskanych statków morskich, wrastają w zaspy piaszczyste, a kilka łodzi rybackich przypiętych u brzegu, kilka sieci rozpiętych przed chatą, kilka tyk wielkich i wioseł w piasek wbitych, oto cały statek nadmorskiego rybaka i jego rodziny!

Pol, bawił w zamku wyniesionym po nad bursztynne morze już w porze grubéj jesieni. Po trzydniowéj burzy, co wstrząsała staremi murami, gdy się Bałtyckie fale uspokoiły — naniosły *strysz* (drobną krę), a wkrótce kiedy mróz doszedł do dwudziestu kilku stopni, całe brzegi morza, jak daleko zasięgało oko, okryły się jednostajną szybą lodu — i zmienił się do razu cały widok okolicy, dla któréj szumu fal zabrakło.

Za poradą dzierżawcy majątku z Podzamcza, siedli na koń i ruszyli z Pomorza żmujdzkiego do Królewca, gdzie nasz autor był świadkiem i brał udział w świetnéj szlichtadzie i zimowym balu. Nazajutrz spotyka się z hrabią *Dona*, który nie był na owéj zabawie.

— Jeżeli pan chcesz poznać poetyczną stronę północnéj zimy, (mówił do Pola) to zapraszam do siebie na wieś, a zrobim parę wycieczek na lody morskie i zapolujesz na skandynawskie wilki. Lubię morze i odwiedzam na łodzi skandynawskie brzegi, bo nigdzie nie można tak wyszumieć z ucisku duszy jak na morzu, ale nie wiem czy nie poetyczniejsze jest życie na lodach, —więc proszę z sobą na taką szlichtadę.

Nasz autor ochotnie przyjmuje szczere zaprosiny kapitana *Dona*, i przybywa z nim razem do jego dworu, który przystrojem swoim, zwiastował że to mieszkanie zapalonego myśliwca. Ale nietylko trofea łowieckie zwróciły uwagę Pola — zadziwiły go więcéj oswojony Łoś i Wilczyca *Bema*, która to swoje miano przyjmowała z przymileniem, a służyła w polowaniu na wab dla wilków skandynawskich.

Tu daje nam Pol opis łowów na te wilki, równie zajmujący, pełen oryginalnych szczegółów, a zarazem poetyczny. Tu poznajemy się z rasą żmujdzką koników małych, dzielnych do jazdy i zaprzęgu, a nadewszystko do walki z wilkami; patrzymy z jaką starannością opatrywano i wystrugiwano śnieg i lód z rogu ich kopyt i pęcin i świeże zaszrubowano ocele stalowe u podków, bo tym jedynie sposobem wytrzymuje mierzynek żmujdzki taką sannę po lodzie. Uczymy się, jak wystrzałami armatniemi probują siły lodów, i zawczasu nasłuchują umiejętnie: *„jak lód gada"* to jest czy pewna jazda po nim.

Z Kłajpedy, w siedem jednokonnych sani i w jedenastu ludzi, wyruszyli na lodowiska morskie. Żmujdzini z busolą, jadą po nich jak po znajomym gościńcu.

Na lodowatéj pustyni, sterczała zamarzła łódź rybacka.

Miło spotkać się było ze śladami człowieka; po jednéj stronie burtnicy stanęły sanie, po drugiéj konie, a łowcy założyli biwaki w saméj łodzi, koło steru. Kilka luźnych desek które w łodzi leżały, położono pod przednie i zadnie nogi koni.

„Uderzyło mnie to (pisze Pol), że koni nie wiązano, i owszem zdjęto im nawet część okrycia ze łbów, zdjęto chomonty i kantary, a pomimo to nierozbiegały się, ale stały w miejscu jak je obok siebie na deskach postawiono; dano im tylko świeże koce, na piersiach spięte i szerokiemi popręgami przypasane. Pytałem czemu z głów końskich pozdejmowano deki?

— Bo na lodzie potrzeba czujności, rzekł mi Dona. Jakby nas wilki napadły, to konie same się bronić muszą i będą. Takie konie nie boją się wilka na lodzie, bo kute, a wilk nie kuty, więc niema siły na lodzie, chybaby z nienacka się uwiesił u gardła koniowi. Na lodzie naciera koń na wilka, nie wilk na konia, a te konie, razem chowane i stadne trzymają się hurtu.

Dobyto kocioł znacznéj wielkości z pokrywą, i ustawiono go w środku łodzi. Było to ognisko, czyli raczéj olbrzymia fajerka olejem napełniona, o kilkunastu płomieniach. Zażegnięto ten kocioł ogniem, i wielki jasny płomień oświecał cały tabor.

Jeden z myśliwych kucharzył. Na żelaznym trójnożku nastawiono drugi kocioł duży nad ogniskiem; w tym kotle tajały kawały lodu, aby mieć wodę do pojenia koni i do herbaty. Jakoż cała prawie noc zeszła na tem, że się topił lód w kotle nad ogniskiem, i ledwo koło północy były wszystkie konie z kolei napojone. Czeladź piła grok i jadła przygrzany bigos, koniom dano obrok w torbach, a naszemu autorowi i hr. Donie dał kucharz jajecznicę z szynką i herbatę z czerwonem winem.

Mgła opadła i prześlicznie wyiskrzyły się gwiazdy. Łowcy o północy poczęli drzémać.

Grzmot niesłychany ozwał się nagle po lodach, i wszystko zerwało się na nogi. Było to pękanie lodów, które się na większym mrozie ścinają, niepodobne ani do grzmotu burz letnich, ani do huku dział; jakieś podziemne, ale straszliwsze jedne od drugich, bo słychać było jak na milowych przestrzeniach lód w różnych kierunkach pękał, i jak się z tych szczelin, jakieś podlodne dobywały gromy. Przez godzinę może strzelał lód w ten sposób, i ucho myśliwych przywykło do tego huku.

Równo ze dniem ruszono daléj, wysłanych dwóch żmujdzinów na zwiady, doniosło że pękanie lodów rozproszyło chmary wilków — ale gromada ich cała wróciła do lodowych skał, gdzie nocleg właśnie naszym myśliwym przypadał.

Mrok padać poczynał, od północy rozjaśniło się, jak gdyby od światła zorzy północnéj: było to *„świecenie lodów."*

Hr. Dona wybrał pomiędzy skałami zamkniętą dolinkę, która chroniła od wiatru dla wypoczynku koniom i ludziom. Po wieczerzy sam z Polem trzymał straż taboru. Około północy ozwał się ze szczytu skał lodowatych głos sowy.

— Ha! ha! witam panią! zawołał Dona do niéj, i zapytał mnie, czy wiesz pan co to znaczy? Biegun północny przesunął się ku nam: jest to polarna sowa, która tylko w najtęższe zimy przebywa w południowéj Szwecji i Finlandji. Odór palącego się oleju zwabił ją tutaj, i trudnoby oznaczyć z jak daleka tu dziś przybyła i po co?

— Jak to? zapytałem.

— A jużciż, jak nas wilki zjedzą, to się coś z téj uczty i sowie okroi.

Ale téj nocy niewidziano wilków; dwaj gorętsi żmujdzini z tego orszaku, wykradli się na wyprawę wilczą, ale jéj mało życiem nie przypłacili. Huk gęstych wystrzałów zbudził spokojny tabor myśliwych, ocaleli dzięki rączości koni, lecz dwa psy padły ofiarą. Siedmiu wilków jednakże opłaciło stratę, których Hr. Dona w swéj łowieckiéj siedzibie, jak zwyczaj stary kazał, na szubienicy przed wrotami wjezdnemi rozwiesił.

(d. c. n.)

Korespondencja Tygodnika Mód.

(Dokończenie.)

Pomimo całéj swojéj elegancji wszystkich arkadyjskich roskoszy, Wiedeń jest obecnie nieznośnym z powodu nadzwyczajnych upałów, a pobyt w nim nie należy bynajmniéj do najprzyjemniejszych chwil życia. Mamy wprawdzie na wszystkich targowicach niepospolitą mnogość najpiękniejszych owoców,—ale cóż, kiedy razem z niemi trzeba koniecznie pożywać sproszkowane cząstki matki ziemi, wznoszące się w powietrzu tumanami przez cały czas gorącéj pory roku. Mamy wspaniale urządzony Sztadtpark,—ale cóż, kiedy tam więcéj dymu tytuniowego, więcéj piżma i paczuli niż świeżego powietrza. Mamy Prater, miejsce do przechadzki, jakiego szukać w świecie,—ale cóż, kiedy tam atmosfera tak przesiąknięta piwem, że kto nie miał szczęścia urodzić się czechem lub przynajmniéj niemcem, nie może się tam czuć swobodnym. Mamy naokoło miasta aleje wysadzone drzewami,—lecz i to dobrodziejstwo straciło bardzo na znaczeniu, bo w tym roku drzewa po większéj części poschły i sterczą jak stare miotły. Poschnięcie drzew wiele narobiło hałasu w tutejszym magistracie, naraziło bowiem miasto na olbrzymie straty. W końcu postanowiono zastąpić drzewa poschnięte innemi, lecz nie sadzić już platanów, którym czy to grunt czy klimat nie służy, lecz morwy, orzechy włoskie i grusze leśne. Wszystkie te drzewa dają wiele cienia, i z owoców ich miałoby miasto pewien dochód, któryby pokryłby przynajmniéj koszta dozoru. W niezonéj teraźniejszéj porze najprzyjemniejszym z bliższych miejsc do przechadzki jest ogród cesarski w Schönbrunnie, a bogata tamtejsza menażerja nie mało przyczynia się do uprzyjemnienia tam kilkugodzinnego pobytu. Menażerja pomnaża się z każdym rokiem. Tego roku przybyły dwa lwy srebrne z Meksyku, w ojczyznie swojéj nader niebezpieczne, sarna meksykańska i dwa psy morskie. Te ostatnie odznaczają się zdumiewającym apetytem, zkąd możnaby wnosić że niewola służy ich zdrowiu.

Otóż, gdy nie wszystkie miejsca do przechadzki są dosyć ponętne, główną przyjemnością dla stałych mieszkańców Wiednia mógłby być teatr, tak jak w zimie. Niestety i to przez pewien czas było niemożebnem, bo opera i teatr zamkowy były aż dotąd zamknięte z powodu restauracji. W takim stanie rzeczy, prawdziwe dobrodziejstwo wyświadczyło Wiedniowi towarzystwo opery włoskiéj z Bukaresztu, które z dyrektorem swoim p. Framhetti przybyło dla dania w teatrze na Wiedeniu kilkunastu przedstawień. Główną siłą tego towarzystwa jest Signor Patierno, fenomenalny tenor. Wszyscy znawcy, wszystkie pisma, wszyscy w ogóle co mieli sposobność go słyszeć, nie mogą się dość nachwalić jego potężnego głosu. Filip Patierno, rodem z Neapolu,

był synem kupca, i do 17 roku życia pomagał ojcu w sklepie. Raz w wieczór z kilku towarzyszami zaimprowizował na ulicy koncert, który zwabił mnóstwo słuchaczów i zjednał mu huczne oklaski. Sławny nauczyciel śpiewu Domenico Scaggioti, który mieszkał na téj samej ulicy, otworzył okno, przysłuchiwał się do końca uważnie śpiewowi młodego Patierna, a potem wywiadywał się o niego i zaprosił do siebie. Przekonawszy się że ma głos rokujący najpiękniejsze nadzieje, talent i zamiłowanie do śpiewu, namówił go, aby się wykształcił na śpiewaka opery. Mieszkał nawet razem z nim dla ułatwienia mu nauki. Patierno wystąpił po raz pierwszy publicznie w operze neapolitańskiéj w roku 1859. Ztąd udał się do Florencji i zyskał znakomitą sławę, w nader krótkim czasie. Później występował na kilku innych scenach we Włoszech, a następnie w Hiszpanji. Do teatru nadwornego w Bukareszcie jest już po raz trzeci zaangażowanym, na wyraźne życzenie panującego księcia i pobiera 72,000 franków rocznie, to jest tyle co najlepsi tenorzyści europejscy. Wszyscy inni członkowie towarzystwa p. Framhetti, stoją o wiele niżéj od Patierna, tak pod względem głosu jak i rutyny.

Jednocześnie trupa francuzka p. Meynadier dawała przedstawienia w teatrze na Leopoldstadzie. Grywała ona tylko operetki i wodewile,—przyznać jednak trzeba że z rzadką doskonałością, dla tego też teatr zawsze był przepełniony.

Arsenał tutejszy, gmach w całem Wiedniu największy, zyskał świeżo niepospolitą ozdobę. P. Blaas profesor malarstwa w tutejszéj akademii sztuk pięknych, któremu poleconem było wykonanie fresków w sali nazwanéj Przybytkiem sławy (Ruhmeshalle) właśnie w tym miesiącu ukończył takowe. Przedstawiają ważniejsze bitwy stoczone rozmaitemi czasy przez wojska austryjackie.

P. Blaas miał tutaj do pokonania wielką trudność zasadniczą: chodziło bowiem o przedstawienie bitew jako bitew, a jednak z opuszczeniem tego wszystkiego, co w obrazie tego rodzaju może obrażać uczucia ludzkie i oko estetycznie wykształcone. Zadaniu temu Blaas w znacznéj części godnie odpowiedział. Arsenał należy do najnowszych budowli, ukończony bowiem został dopiero w 1855 roku. Jest w nim bogate muzeum broni, dostępne dla zwiedzających osobliwości wiedeńskie. Wspaniała to budowa o stylu bizantyńskim. Wspomniony przybytek sławy ozdobiony jest zbrojami, bronią itp.

Stowarzyszenie zarobku kobiecego,o którem w poprzednich listach niejednokrotnie donosiłem, odbyło przed kilku dniami uroczyste posiedzenie z powodu zamknięcia roku szkolnego. Oprócz członków stowarzyszenia i mnóstwa gości, znajdowało się na posiedzeniu 200 uczennic, uczęszczających do zakładów naukowych stowarzyszenia. Dr. Schrank dyrektor wszystkich tych zakładów, miał mowę, w któréj podniósł zasługi stowarzyszenia i gorliwość uczennic, dodając, że tym ostatnim głównie należy się zasługa, że stowarzyszenie, o którego utrzymaniu z początku wątpiono, tak pięknie się rozwinęło. Daléj oznajmił, że właśnie teraz urząd telegraficzny zgłosił się do stowarzyszenia żądając 40 telegrafistek. Wiele uczennic otrzymało już miejsca, stowarzyszenie codzień prawie odbiera z rozmaitych stron zapytania, czy są uczennice gotowe wstąpić do zawodu praktycznego. Następnie odczytano program przyszłego roku szkolnego. Oprócz szkoły handlowéj, będzie urządzony kurs przygotowawczy, trzyletni kurs nauk i trzyletni kurs robót ręcznych.

Popołudniu uczennice zrobiły wspólną wycieczkę do pobliskiéj wioski i spędziły kilka godzin na śpiewach i tańcu, dowodząc tym sposobem, że oddawanie się naukom i w ogóle poważniejszym zajęciom, bynajmniéj nie pozbawia dobrego humoru i swobody umysłu.

S. Nowiński.

Hektor Berljoz.

Znane są utwory Hektora Berljoza, który słusznie uważanym jest za zjawisko w muzyce francuzkiéj,—ale nieznane są szczegóły jego życia, dowodzące niepokonanego niczem talentu, który mimo najstraszliwszych przeszkód, wszystkie usunął, zdruzgotał, a doszedł tam, gdzie go wiódł zapał wewnętrzny. Wydane obecnie jego pamiętniki, obejmujące wspomnienia młodości, opis pierwszych harców po ciernistéj drodze prawdziwie artystycznego życia, stosunki z najznakomitszymi muzykami i ich charakterystyka, przygody z bandytami włoskiemi, niezmiernie wtajemniczają w żywot tego kompozytora,—podanie zatem chwil wybitniejszych, nie będzie bez interesu.

Hektor Berlioz urodził się d. 11 grudnia 1803 w Côte-Saint-André, w departamencie Isère, gdzie ojciec jego był lekarzem zdolnym i powszechnie szanowanym. Posyłano go z początku do szkół publicznych, ale później ojciec zajął się sam jego ukształceniem, i między innemi udzielał mu także muzyki. Studja klasyczne nie bardzo przypadły mu do smaku i dopiero Dido Wirgilego zajęła go mocniéj; geografia zaś i opisy podróży wywierały zawsze największy wpływ na jego umysł. W chłopięcym jeszcze wieku będąc z rodzicami w odwiedzinach w Maytan pod Grenoblą, zakochał się w osobie o wiele starszéj od siebie. Widać więc że już wcześnie odezwała się w nim chęć kuszenia się o rzeczy niepodobne, która nigdy nie poskromniona, wywarła później tak przeważny wpływ na kierunek jego działalności artystycznéj. Ojciec uczył go tylko na flecie, ale Hektor znalazłszy w domu flażeolet, nie omieszkał ćwiczyć się i na tym instrumencie. Później naukę gry na flecie i śpiewu pobierał od nauczyciela z Lyonu Imberta, na fortepianie jednak ojciec nie pozwolił się mu uczyć, nie chcąc aby muzyce poświęcał zbyt wiele czasu. Dostawszy przypadkiem dzieła Rameau i Catela o harmonji, przeczytał je i wystudjowawszy kwartet Pleyela, zaczął pod jego wpływem komponować. Napisał sekstet i dwa kwintety, w których podobno rzewny smutek przeważał, w krótce jednak spalił to wszystko. Po Imbercie nauczycielem jego był Doront i uczył go na gitarze.

Życzeniem ojca było, aby Hektor poświęcił się medycynie, chociaż więc sława mężów takich jak Gluck i Haydn bardziéj go nęciła, poddał się woli ojca i w roku 1822 mając lat 19, przybył do Paryża dla słuchania medycyny. Z ochotą, chociaż z początku z trudnym do przezwyciężenia wstrętem, odbył kurs anatomii, i nie bez zajęcia uczył się także innych gałęzi medycyny, ale opera paryska tak silne sprawiała na nim wrażenie, że często ani myśleć nie mógł o nauce. Gdy zaś w bibliotece konserwatorjum znalazł partytury oper Glucka, i w nich się zagłębił, niepodobna mu już było panować dłużéj nad sobą. Porzucił więc medycynę i postanowił wbrew woli ojca zostać muzykiem.

Napisał wówczas kantatę „Le cheval arabe" a jeden z jego znajomych pokazał ją Lesueurowi, cenionemu kompozytorowi i nauczycielowi w konserwatorjum, którego dyrektorem był Cherubini, Lesueur znalazł w kantacie Berlioza wiele błędów, lecz oraz siłę i ruch dramatyczny, w skutku czego postanowił przyjąć go do swojéj klasy jako ucznia. Wówczas Berlioz zaczął pisać operę i wybrał sobie Floriana L' Estelle" imię jego pierwszéj kochanki. Opera ta jednak nieudała się i wykonania jéj nigdy nie słyszano. Później napisał mszę w stylu Lesueura, lecz kompozycja ta już przy próbie zrobiła zupełne fiasco, ponieważ głosy były źle napisane. Berlioz przerobił ją około r. 1824 i postarał się o jéj wykonanie, sprawiła jednak tak tym razem, jaki przy drugiem wykonaniu w r. 1827 niekorzystne wrażenie, w skutek czego spalił ją wraz z innemi dawniejszemi kompozycjami. Jako uczeń konserwatorjum znalazł w Lesueurze życzliwego przyjaciela. Cherubini jednak nie lubił go, i Berlioz jego nawzajem. Nieznośną mu była zła wymowa francuska mistrza, nieznośną jego pedanterja. Raz Berlioz powiedział Cherubiniemu: „je n'aime pas la fugue", na co mistrz odrzekł z szyderstwem: „et la fugue ne vous aime pas."

Niepowodzenia przy ubieganiu się o nagrody konkursowe były powodem, że ojciec przestał przysyłać mu pieniądze na utrzymanie, w skutku czego młody Berlioz powrócił do domu. Po długim oporze ojciec dał się nareszcie ubłagać, lecz matka nigdy. Wróciwszy do Paryża, utrzymywał się z lekcji i wstąpił znowu do konserwatorjum. W tym czasie napisał operę „Les Francjuges" lecz akademja królewska odrzuciła ją, zatrzymnwszy tylko uwerturę, która była wykonana wielokrotnie. Dyrekcja opery odmówiła mu także przedstawienia sceny do śpiewu pod tytułem „La revolution grecque" którą skomponował do słów Ferranda. Aby sobie zapewnić utrzymanie, przyjął miejsce chórzysty w teatrze des Nouveautés, nie zaprzestając jednak kompozycji.

Przypuszczony znowu do konkursu, skomponował kantatę,—uznano jednak że jest niepodobną do wykonania, co oczywiście poróżniło go do reszty z sędziami konkursowymi Cherubinim, Lesueurem, Bertonem, Boieldieu itd., ale powróciło mu pensję ojcowską. Uwolniwszy się tym sposobem od uciążliwych i upokarzających obowiązków, poświęcił się wyłącznie nauce muzyki dramatycznéj. Gluck stał się jego bożyszczem, cenił także wysoko Webera i Spontiniego, mniéj jednak Mozarta.

Pierwsze pojawienie się Shakespeara na scenie paryzkiéj, wywarło przeważny wpływ na dalsze jego życie. O ile bowiem zajął się sztukami Shakespeara, o tyle zakochał się w miss Smithson, która występowała w nich z wielkiém powodzeniem i z którą się po kilku latach ożenił. Aby się jéj stać godnym, pragnął dać się poznać szerszéj publiczności, i w tym celu dał w roku 1828 koncert, w którym grano same tylko jego kompozycje, te właśnie które na konkursach poodrzucano. Koncert powiódł się szczęśliwie i zjednał mu huczne oklaski.

W roku 1828 uzyskał drugą nagrodę konkursową pomimo oporu Cherubiniego. I w następnym roku ubiegał się o podobną, ale nagród nie rozdawano.

Skomponował potem 8 scen z Fausta, a następnie sławną symfonię fantastyczną „Episodes de la vie d'un artiste," któréj każdy ustęp ma przedstawiać osobną scenę jako to „Scene aux champs" „Marche au supplice" itd., daléj fantazję do „Burzy" Shakespeara, któréj wykonanie nie powiodło się, i z powodu rewolucji lipcowéj w r. 1830 ułożył Marsyliankę na dwa chóry, tudzież kantatę „La dernière nuit de Sardanapale" za którą uzyskał od akademii pierwszą nagrodę. Przy wykonaniu téj kantaty był obecny Liszt, i odtąd pomiędzy nim a Berliozem zawią-

zała się trwała przyjaźń. W dziennikach powstał wówczas spór o znaczenie Berlioza. Cherubini zapytany czy chce słyszeć jego nową kompozycję, odpowiedział: „Je n'ai pas besoin d'aller savoir comment il ne faut pas faire."

W styczniu 1831 pojechał do Rzymu dopełniając warunków konkursowych. Stamtąd posłał do Paryża Resurexit, tudzież uwerturę do Rob-Roya którą źle przyjęto w Paryżu, w skutek czego spalił ją i kilka innych. W maju 1832 wrócił do Francji, i po krótkim pobycie w miejscu rodzinnem ukazał się znowu w Paryżu. Przy ponownem wykonaniu symfonii fantastycznéj, do któréj przydał nowy ustęp „Le retour de ma vie" przyszło pomiędzy nim a obecną na koncercie miss Smithson do wzajemnego wynurzenia uczuć. Ożenił się z nią wbrew woli rodziców w r. 1833 w skutek czego znajdował się pewien czas w bardzo kłopotliwem położeniu. Znowu więc musiał wziąść się do dawania koncertów. Na jednym z nich poznał się z Paganinim, który zachwycił się jego dziełami i żywo się nim zajął.

W roku 1836 minister Gasparin polecił mu napisać requiem za poległych w rewolucji lipcowéj. Nieco późniéj starał się o posadę nauczyciela harmonji w konserwatorjum, lecz Cherubini skłonił go do cofnięcia podania. Natomiast dano mu posadę bibliotekarza przy tymże instytucie z nader szczupłą pensją. Wstąpiwszy jednocześnie do redakcji dziennika Journal des Débats, pisywał recenzje do feiletonu które zjednały mu imię niepospolitego krytyka.

Skomponował także operę Benvenuto Cellini do textu Wailly i Barbier, która była przedstawiona w roku 1836, ale z niepomyślnym skutkiem. Znowu wziął się do dawania koncertów. Paganini słysząc jego symfonię „Harold" zachwycony nią, darował mu znaczną kwotę pieniężną. W r. 1840 znowu poruczono mu ułożenie muzyki na obchód rewolucji lipcowéj, a wykonanie powiodło się najzupełniéj.

Odtąd zaczęła się nowa epoka w życiu Berlioza, rozpoczął bowiem podróże zagranicę, które tak bardzo przyczyniły się do ustalenia jego sławy. Wspomnienia tych podróży opisał Berlioz w swoich pamiętnikach, tak powabnie, tak żywo i ponętnie, że nie można oderwać się od jego książki. Najmocniéj dzieło to polecamy czytelnikom naszym.

OBRAZY
NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA ZACHĘTY

SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE.

Kostrzewski — Chełmoński — Kossak — Loeffler — Ruśkiewicz — Malinowski — panna Dukszyńska.

Obraz p. Kostrzewskiego *Grzybobranie*, jeżeli nie zaleca się wybitniejszą myślą pociągającą uwagę patrzącego, jak do tego w pracach tego artysty jesteśmy przyzwyczajeni, za to odznacza się większem wykończeniem szczegółów, dość rzadko spotykanem u tego artysty.

Pod lasem znajduje się cztery osób, dwie starszych kobiet i dwoje dzieci. Jedno z nich, chłopczyk, pokazuje starszéj wiekiem kobiecie muchara w czerwonéj ładnéj barwie, biało kropkowanego, a ta widocznie objaśnia go, że to grzyb szkodliwy, trujący i zupełnie nie taki dla zbierania których przyszli do lasu. Druga młodsza kobieta klęczy przy koszyku na jednym kolanie i obrzyna znajdujące się w nim grzyby z korzonków. Przy niéj stoi mały chłopczyk, milutka bardzo dziecina, a daléj piesek salonowéj rasy. Zadanie więc bardzo proste i mało obudzające interesu, a jednak jest w całym obrazie coś pociągającego widza, coś takiego co go przenosi w dalekie od Warszawy strony, nasuwa wspomnienie miłych wycieczek do lasu, ciszy leśnéj i owego gwaru i radośnych okrzyków zbierających, gdy grzyb gdzieś w ukryciu wyśledzonym został. Przyczyną tego: wyborny koloryt drzew, nieba, trawy, jak to zwykle w jesieni miewa miejsce.

Pana Chełmońskiego trzy znajdują się na Wystawie obrazki, z których znać że artysta pracuje i to usilnie, zdobywając może z trudem i mozołem, ale ciągły postęp tak w rysunku, kolorycie jak i w pomysłach za przedmiot użytych. W pierwszym *Odlot Żórawi*, przebija się myśl niezmiernie rzewna. W polu, w pustym obszarze, stado żórawi wzbija się do lotu, aby się udać w daleką podróż. Gdy wszystkie podlatując wybijają się w górę, jeden tylko ze złamanem skrzydłem pozostaje w miejscu. Naprożno biedak wyciąga szyję i głosem żałosnym wzywa pomocy towarzyszy: naprożno szamocze się, porusza skrzydłami i wspina na nogi,—nieszczęśliwy wypadek przykuł go do miejsca, bracia odlecą a on zostanie sam bez wsparcia i pociechy. Myśl tą nazwaliśmy rzewną, bo jeżeli smutno patrzéć na dzikiego ptaka, skazanego losem na podobne męczarnie, o jakże więcéj cierpieć musi człowiek, dręczony niemożnością dokonania tego co duchem swoim pragnie. Zapewne myśl ta przewodniczyła pracy p. Chełmońskiego, bo gdy tylu innych młodych początkujących malarzy wyjeżdżało w celu kształcenia się za granicę, on sam jeden w miejscu pozostał; cóż więc dziwnego że mu stanął w myśli żóraw ze złamanem skrzydłem?

Drugi obrazek *Są matula*, równie jest pociągający swą treścią. Chłopczyna wiejski, z mniejszą od siebie o połowę dzieciną, podszedł pod łan zboża, który z przeciwnéj strony żniwiarze żną sierpami. Dzieci widać zatęskniły do matki, a nie mogąc się jéj doczekać poszły do żniwa, i krążąc po połomkach natrafiły wreszcie na miejsce, gdzie rodzicielka ich pracuje ale z przeciwnéj strony. Starszy więc chłopczyna słysząc chrzęst sierpów, wspina się na palce, wyciąga szyję, i rzucając spojrzenie przez ścianę zboża, pyta się: a są tam matula? Po drugiéj stronie zboża stoi żniwiarka, matka tęskniących za nią dzieciaków.

W trzecim wreszcie *W wiejskim kościołku*, już nie obrazku ale obrazie większych rozmiarów, artysta przedstawił cząstkę wnętrza kościelnego od wejścia. Przy figurze z ukrzyżowanym Chrystusem stoi wieśniaczka w świątecznym ubraniu, i jedno z dwojga dzieci przyprowadzonych z sobą trzyma zawieszone u swéj szyi, drugie podnosi do stóp Zbawiciela, aby mu dziecina stopy ucałowała. Daléj cokolwiek, widać wieśniaka starszego i wyrostka wiejskiego, klęczących i wznoszących w uniesieniu nabożnem ręce w górę. Daléj ciągną się ławki, w nich kilku pobożnych, a daléj jeszcze już zupełnie wgłębi, dzwonek kościelny sznurem poruszą sygnaturkę wieżową, głosząc okolicy że w nabożeństwie rozpoczęła się chwila Podniesienia.

I myśl tu szczęśliwa, i ugrupowanie osób bardzo charakterystyczne. Ławki, ściany, chorągwie, obrazki, przystrój świąteczny wieśniaków, nachylenie ich postaci, nawet przygarbiona figura dzwonnika,—wszystko wiernie odwzorowane z natury, jakbyśmy tam byli i patrzyli na wszystko. Koloryt znacznie lepszy jak w pierwszych pracach p. Chełmońskiego, więcéj zbliża się do prawdy, do natury, ale jest coś w nim niewłaściwego, jakby brud lub kopeć. Wprawdzie w wiejskim starym kościołku, przechowującym wizerunki śmierci pędz... osą w świat między ludzi, jak to widzimy w obrazie p. Chełmońskiego, trudno wymagać barw świetnych, niewyszarzanych czasem i nieprzyćmionych opyleniem; ale przez to wyszarzanie i opylenie przebijać będzie dawna świeżość przez czas tylko zestarzała.

W kolorycie *Odlotu żórawi*, ta sama ujemna strona daje się spostrzegać, a chociaż pora w nim jesienna, powietrze mgłą wilgotną napełnione, jak to zwykle miewa miejsce w tym czasie przed wschodem słońca, zawsze jednak wszystko to za ciężkie, za mało przezroczyste.

W obrazku *Są matula*, koloryt już lepszy i znać usiłowanie do przełamania nasuwających się trudności.

Braki jednak te sowicie p. Chełmoński wynagradza nadawaniem wielkiego życia swoim postaciom. Talent tu niezaprzeczony, usilność do postępu widoczna, można więc mieć niepłonną nadzieję, że artysta kolorytem z czasem zawładnie i nada mu tę prawdę, jaką już umie chwytać rysunkiem. Głębsze wnikanie w naturę, przypatrywanie się jéj rozważne, studjowanie jéj, pracę tę wielce ułatwi, czego w imieniu sztuki i posiadanego talentu mamy prawo domagać się od p. Chełmońskiugo.

Pana Kossaka *Gawęda przy ognisku*, przedstawia scenę z wojackiri zeszłego stulecia z całą prawdą i życiem jakie cechują wszystkie prace tego [artysty.

Czterech takich wojaków pod lasem leży i siedzi przy ognisku, prowadząc z sobą gawędę, kto tam domyśli się o czem wojacy gawędzą. Może o domu o kochanych, może o trudach i zawodach....... Tuż przy nich stoją dwa konie pod siodłem. Jest to pora późnéj jesieni, liście na drzewach, trawa na murawie już [dobrze pożółkły, a w powietrzu znać brak letniego promienia słońca, co uśmiechem wesela stroi całą przyrodę. Praca to piękna, nie wszystkie w niéj postacie są jasne i wyraźne, mimo tego na każdéj wystawie choćby najwybredniejszéj, znalazłoby uznanie i pochlebne bardzo przyjęcie.

(d. c. n.)

KORESPONDENCJA.

Pani Józefie z X. Z. z nad Bugu. Każdy głos z serca pochodzący, głos szczerego uczucia i miłości ogólnego dobra, przyjmujemy zawsze chętnie i umiemy oceniać pobudki które nim kierowały. Aby na list pani odpowiedzieć szczerze, tak jak zacną swoją treścią zasługuje, potrzebujemy koniecznie bliższego porozumienia się. Prosimy więc o adres, a z odpowiedzią pospieszymy natychmiast; w każdym zaś razie racz pani przyjąć wyznanie szczerego szacunku, z jakim na zawsze dla niéj pozostaniemy.

Panu K w P. Życzeniu staralibyśmy się chętnie zadość uczynić, ale nie zawsze to możemy co chcemy. Życie na wsi oddalone od stolicy, nie pojmuje nawet jak w zaduszonem i ścieśnionem żyć musimy powietrzu. Nieraz brakuje nam oddechu, czujemy że dławimy się, a jednak nie możemy znaleść rady aby usunąć to co nam zawadza. Po ściągnięciu potrzebnych wiadomości, natychmiast prześlemy je w osobnym liście.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*) Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 35. 1871 r.

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIEŃ MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

— Uczucie sprawiedliwości, mówiła dźwięcznym swym nieco tylko przytłumionym głosem, uczucie sprawiedliwości zmusza mię do powiedzenia: że babka moja oddając mi tak znaczną część swego majątku, obdarzyła mię zbyt hojnie względnie do moich zasług. Czy byłam bowiem najwierniejszą jéj sługą? Nie! bo nie czuję się zdolną być wierną sługą. Czy zawsze przynosiłam chlubę i honor familji? Nie, bom wcale nie myślała o tem. Czy ochraniałam babkę moją od jakowych intryg i obmów? Nie, bo o żadnych podobnych nic a nic nie wiedziałam. Za cóż więc babka moja tak hojnie mię obdarzyła? Nie wiem... a może i wiem, ale to do rzeczy nie należy. Lubo nie mam pretensji do wysokich cnót siostr miłosierdzia i rzadko myślę o sądzie ostatecznym, jak tylko mogłam najlepiéj czuwałam nad tą, która w ostatnich dniach życia swego potrzebowała bardzo miłosierdzia, i nauczyłam się przenikać myśli téj, dla któréj wkrótce miała przyjść godzina sądu. Otóż, ponieważ czuwałam nad tą, która doprawdy potrzebowała miłosierdzia, pomimo że była bardzo, bardzo bogatą panią, i ponieważ nauczyłam się przenikać jéj myśli, przeniknęłam także, iż w ostatnich dniach swego życia pragnęła ona widzieć pewne osoby,—a gdy ujrzała te osoby, pragnęła imiona ich zapisać na tym oto arkuszu papieru, który nazywa się jéj testamentem. Czy zapisując imiona tych pewnych osób na tym oto arkuszu papieru, chciała ona uszczuplić część mnie przeznaczoną, czy część komu innemu przeznaczoną? nie wchodzę w to. Zapytuję tylko siebie czy jestem chciwą? I odpowiadam: nie, nie jestem chciwą. Czy pragnęłam majątku? tak, pragnęłam majątku i prosiłam nawet nieraz mojéj babki, aby mi go udzieliła. Ale jakiego pragnęłam majątku? Czy takiego aby błyszczeć i panować, czy takiego aby módz żyć niezależnie saméj, a może jeszcze i z kimś drugim? Oto takiego, aby módz żyć niezależnie. I jeszcze jedno zadaję sobie pytanie: czy jestem pełnoletnią i posiadam prawo rozporządzania się mojem dobrem? Tak, jestem pełnoletnią i posiadam to prawo.

Czy posiadam godną zazdrości moc charakteru sprzeciwiania się ostatniéj woli osoby umierającéj, woli o jakiéj jestem tak niewątpliwie przekonaną, jak o tem że żyję i stoję w téj chwili przed waszą obecnością, panowie i panie? Nie, nie posiadam téj godnéj zazdrości mocy charakteru. Otóż i cała moja spowiedź z któréj wynika; że ponieważ nie byłam wcale najwierniejszą sługą mojéj babki, ani honoru familji nie stawiłam sobie za główny cel życia, ani strzegłam moją babkę od intryg i oszczerstw, o których istnieniu nie wiedziałam i nie wiem wcale, ponieważ nie jestem chciwą, pragnę majątku tylko takiego, któryby dał niezależność mnie i jeszcze komu drugiemu, ponieważ nakoniec jestem pełnoletnią i posiadam prawo rozporządzania się mojem dobrem, a nie posiadam zadziwiającéj mocy charakteru pozwalającéj sprzeciwiać się ostatniéj woli osoby umierającéj, ponieważ wszystko to tak jest, jak powiadam,—czuję się w prawie i obowiązku głośnego i stanowczego oświadczenia: że zapisu babki mojéj nie przyjmuję w tak wielkiéj cyfrze w jakiéj on jest wyrażony, i jedną trzecią część jego zostawiając dla siebie, dwóch pozostałych części, z pełnem zastanowieniem i rozwagą, stanowczo i w obec wszystkich zebranych tu świadków, zrzekam się na rzecz rodzonéj siostrzenicy mojéj babki, pani Matyldy i córki jéj Wacławy, które to osoby lubo nie zostały wymienione w testamencie mojéj babki, ale były wspominane i wzywane w ostatnich jéj uczuciach i myślach, o czem ja wiem i co zataić nie uznaję ani słusznem, ani dla mnie potrzebnem.

Tu zwróciła się do prawnika, i dodała:

— Teraz wzywam pomocy pana prosząc, abyś raczył sporządzić akt urzędowy, stosowny do tylko co wyrażonych mych życzeń, i w obec prawa ważny, mając na względzie, że jestem pełnoletnią i tem co do mnie należy rozporządzać mogę, według méj własnéj i nieprzymuszonéj woli.

Trudno opisać wrażenia, jakie to odezwanie się Rozalji wywarło na całem zgromadzeniu. Odpychać od siebie złotego bożka bogactwa, wtedy gdy on raczył cudownemi skrzydły swemi dotknąć czyjejś głowy,—byłoż to rzeczą podobną? Pragnąć prostéj niezależności wtedy, gdy zbytek i potęga same cisną się w czyjeś ręce, —byłoż to rzeczą rozsądną? Zresztą tylu krewnych zostało pominiętych lub skąpo obdarowanych przez zmarłą, tylu krewnych których sposób życia, związki jakie zawarli, powozy, manjera, wspaniale dźwięczą wielkością rodu i przynoszą honor familji! Dla czegoż więc wspaniałomyślność Rozalji nie spłynęła na kogokolwiek z tych krewnych, ale praw swych odstępowała osobom, które utratą majątku, a następnie skromnem wyrobniczem życiem, przynosiły wstyd familji, i tak imieniem jakie nosiły, jak sposobem swego życia, wyłączone były od tego świata z którego brały początek? Szepty, uśmiechy i głośne wykrzykniki, rozmaite sądy i zdania, poczęły odzywać się we wszystkich stronach salonu z nieopisaną żywością, i w kilka sekund zapełniły go gwarem i ruchem. Pani Rudolfowa tak była otoczoną gronem dam, które zbliżały się do niéj z pytaniami i ubolewaniami, że nie mogłam nawet dojrzeć jéj twarzy, a widziałam tylko biały czepeczek okrywający głowę, którą spuszczała się z pokorą i słodyczą.

Tymczasem Rozalija pół głosem rozmawiała z prawnikiem i egzekutorami testamentu, a matka moja po chwilowem milczeniu śród którego widocznie namyślała się i skupiała ducha, powstała i zbliżyła się także do grupy osób stół otaczających. Tu z właściwą sobie powagą i wdziękiem, ujęła obie ręce Rozalji, i przyciągnąwszy ją do siebie, długi pocałunek złożyła na jéj śniadem, hardem czole. Potem wymówiła głośno i z łagodnym uśmiechem:

— Kochane dziecko, uznaję całą szlachetność twego postępku i dziękuję ci za twe dobre chęci dla córki mojéj i dla mnie: ale w imieniu jéj i swojem ofiary twojéj nie przyjmuję.....

Nowe osłupienie w zgromadzeniu całem, nowa cisza w salonie! Czyliżby i druga jeszcze znalazła się na świecie osoba, dość od ważna a zarazem tyle nierozsądna, aby odepchnąć zlatującego na nią bożka bogactwa?

Niedługo jednak zebrane towarzystwo podziwiać mogło ten drugi fenomen, bo pomiędzy mężczyznami tworzącymi ścieśnioną grupę, przez drzwi wchodowe przecisnął się nowy jakiś przybysz i donośnym głosem wymówił:

— Pani Matylda i córka jéj nie potrzebują ofiar z niczyjéj wspaniałomyślności pochodzących, ponieważ i bez tego posiadają znaczny majątek.

O, jakże był zmieniony! Włosy jego posiwiały prawie zupełnie, policzki wklęsły się, oczy zapadły i jakimś powolnym przenikającym płonęły blaskiem; podróżne ubranie zwisało zbyt szerokie dla wychudłéj jego postaci, którą jednakże z widocznem wysileniem wyprostował stanąwszy pośród zgromadzonego koła. Witali go wszyscy i on wszystkich witał, ale ręka jego sztywnie wyciągała się do tych co mu podawali ręce, i za każdym uściskiem opadała jakby bezwładna. Na bladych ustach napiętnowanych wyrazem cierpienia krążył uśmiech, i oczy błyszczące z zagłębień pomijały wszystkie twarze, a przedzierały się do twarzy Rozalji, która ujrzawszy go mimowolnym jakby ruchem załamała ręce i stłumionym głosem zawołała: O, ojcze!..

Oboje zbliżyli się do siebie; ojciec w drżące dłonie wziął hardą głowę córki, która się pochylała przed nim, i długim pocałunkiem usta swe do jéj czoła przycisnął.

— Rozaljo! wyrzekł, to coś chciała uczynić było dobrem i sprawiedliwem, błogosławię cię za to!

Potem zwrócił się do wszystkich obecnych,— i mówił:

— Wracam z długiéj podróży, któréj cel mnie tylko samemu był wiadomym; dziś powinien on być wiadomy wszystkim, i dla tego wielce rad jestem, że obecne tu osoby będą świadkami tego co się stanie.

Umilkł na chwilę, i pomiędzy twarzami które go otaczały zdawał się jakiejś jednéj szukać twarzy. Znalazł ją wzrokiem, lubo starała się w cień zasuwać, i wymówił:

— Wielka czyjaś krzywda, do któréj i ja przyłożyłem się w części, ciążyła na mojem sumieniu. Puściłem się w świat aby wynaleść środki restytucji; znalazłem je i przywiozłem; lecz zarazem przywiozłem hańbę i karę głównemu krzywdzicielowi...

Przy ostatnim wyrazie wyciągniętą ręką wskazał na Henryka, który od wejścia jego począł coraz więcéj blednąć i drżeć, ale w téj chwili zebrał znać wszystkie swe siły i stał oparty o poręcz krzesła, blady bardzo, ale szyderski i zimny. Zdawało się, że pomimo bardzo wyraźnego gestu Rudolfa, słów jego wcale nie stosował do siebie; starał się nawet nie patrzeć na przeciwnika swego ani na nikogo z obecnych,—szafirowe szkła pochyliły się ku ziemi, a na całéj twarzy przebieganéj co chwilę nerwowemi drganiami, znać było myśl pracującą w błędnem kole. Pan Rudolf odwrócił wzrok od niego i mówił daléj:

— Niepomnę już przed ilu laty, bo jeślibym wierzył własnemu poczuciu, sądziłbym że przed stu lub przynajmniéj kilkudziesięciu, prawdopodobnie

zaś nie więcéj jak przed kilkunastu laty, w obcym odległym kraju spotkałem ojca, tego oto człowieka, (tu wzrok jego coraz więcéj płonący upadł znowu na twarz Henryka) i jako towarzysz jego młodości, jako sprzyjaźniony z nim przez długi przeciąg czasu, otrzymałem ostatnie jego zwierzenie ustne i piśmienne.

Pierwsze jak wiadomo nie mogło mieć żadnego w obec prawa znaczenia; drugie nakreślone umierającą ręką, było tylko powtórzeniem tego, co ojciec rodziny opuszczając dom swój na zawsze, powierzał jedynemu synowi swemu, jako wyraz woli swéj i przebudzonego widokiem śmierci sumienia. Sądzę że nie mam potrzeby opowiadać, w jakiem znajdywałem się położeniu w czasie, gdy umierający przyjaciel powierzył mi pismo, którem nagradzał krzywdę dopełnioną, uiszczał się z długu połączonego z najświętszym obowiązkiem wdzięczności, i mienie swoje rozdzielał pomiędzy wszystkie swe dzieci, które jednakową kochał miłością. Wszyscy tu obecni wiedzą zapewne, że podróżowałem na ówczas z osobą. której imienia nie mam potrzeby wymieniać,—jeśli zaś ktokolwiek nie wie o szczegółach towarzyszących ówczesnéj mojéj podróży, niech mi przebaczy że powtarzać ich nie będę... Wyznaję... byłoby to nad siły moje...

Głęboki rumieniec pokrył twarz jego i bardzo szybko zamienił się w bladość — potem odetchnął ciężko i mówił daléj śród ogólnego pełnego uwagi i podziwu milczenia:

— Pismo powierzone mi przez przyjaciela, który na ręku mojem, daleko od rodziny swéj ducha wyzionął, złożyłem wraz z pewnemi drogiemi przedmiotami które posiadałem. Klejnoty i pismo zginęły mi jednocześnie...Jakim sposobem? niech odgadną ci, którzy wiedzą o okolicznościach towarzyszących ówczesnéj mojéj podróży.... Mówić o nich choćbym chciał nie mogę, a jeślibym mógł tobym nie chciał. Dostatecznie będzie jeśli powiem, że w tym samym czasie w sercu mojem pękła jakaś struna, a straszny dźwięk jéj zagłuszył we mnie na długo pamięć o wszystkiem. Wróciłem do domu i odzyskawszy samego siebie, przez lat kilka dręczony byłem poczuciem krzywdy, jaka się stała przezemnie, i niepewnością tego co miałem czynić. Nakoniec głos sumienia przemógł wszystkie względy, wiedziałem w czyjem ręku pozostało pismo o którem mowa,—postanowiłem więc odzyskać je... i odzyskałem.

W téj chwili przerwał mowę Rudolfowi głuchy jęk połączonéj trwogi i wściekłości. Wydał go Henryk. Pobladłe wargi jego otworzyły się, zadrżały, i słychać było jak z piersi jego wydobyły się głuchym głosem wymówione słowa:

A więc przybywasz już postrachu dni moich, zmoro moich nocy!

Oddawna widać dni jego zakłócane były tym postrachem, oddawna znać ta zmora śród ciemności nocy bezsennych pilnowała węzgłowia jego łoża, bo strasznie było patrzéć na tę twarz panicznym wstrząsaną strachem, na tę ślimaczą postać pod którą uginały się kolana. .

Wszakże przestrach i sumienie nie całkiem jeszcze zgasiły w tym człowieku pochodnie jego woli. Z niezmiernem wysileniem przywołał na usta uśmiech lekceważący, głowę podniósł, poskromił drżenie uginających się pod nim nóg swoich i parę kroków postąpił ku Rudolfowi.

— Jeśli to pan do mnie stosujesz... wymówił głosem który chciał donośnym uczynić...Ale wnet zamilkł, zachwiał się i znowu trzęsącą się rękę oparł o poręcz krzesła, bo w téjże chwili p. Rudolf nie odpowiadając mu, nie patrząc nawet na niego wydobył z pugilaresu i rozwinął arkusz pożółkłego od starości zapisanego papieru. Głos jego złamany wprzódy i przytłumiony, dźwięcznie i doniośle rozbrzmiał po napełnionym ludźmi salonie, gdy czytał następne słowa:

„W biórze moim o dwóch zwierciadłach i sześcioramiennym świeczniku utrzymywanym przez dwie bronzowe ręce, w drugiéj szufladzie po prawéj stronie od góry, otwierającéj się za pociśnięciem mnie tylko znanéj sprężyny, złożyłem sporządzony przezemnie testament, w którym uznaję za święty i nienaruszony dług zaciągnięty przezemnie w młodości méj od świętéj pamięci ojca p. Matyldy (tu następowała cyfra długu o wiele przewyższająca tę, za jaką pan S. matkę moją pozbawił majątku) i wypłatę jego, w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, nakazuję synowi memu pod błogosławieństwem ojcowskiem.W tymże samym testamencie moim, całe mienie moje zebrane przezemnie samego w ciągu długich lat trudów i oszczędności, rozdzielam w zupełnie równych częściach pomiędzy syna mego i dwie moje córki Emilije i Zenonę,—nakazując pierwszemu: aby nie korzystał z prawa wyznaczającego czternastą część majątku rodzicielskiego potomkom płci żeńskiéj, ale aby obie siostry swoje dopuścił do równego podziału majątku jaki po mnie zostaje. Klucz od biura mego, jako też tajemnicę użycia sprężyny w szufladzie w którą złożyłem testament, powierzyłem synowi memu z zaleceniem, aby nie otwierał ją aż po mojéj śmierci."

Przeczytawszy te wyrazy Rudolf, zwrócił się do oskarżonego i powtórzył to, co kiedyś wymówił do niego w obecności mojéj.

— Oto słowa twego ojca, które w przed chwilą zgonu wypisane były w obecności świadków i mojéj powierzone pieczy. Spostrzegł on już znać twą skłonność do świetnego stanu milijonera, i uspokoił sumienie swoje powierzając innym to, co był powierzył tobie, co przewidywał, że jak w otchłań zapadnie w twą ciemną duszę, i zniknie.

Tu nastąpiła scena nie do opisania pełna grozy i ohydy. Obecni oglądali pismo, poświadczali podpisy świadków i potwierdzenia miejscowego urzędu, a po całéj sali jak szmer monotonny, przytłumiony, chwilami wybuchający, popłynęło mnóstwem ust powtarzane pytanie: ,,Gdzież jest testament? gdzież się podział ten testament?"Pytanie to którego szmer zrazu był cichy i niby z osłupionych nagłem zdziwieniem umysłów wychodzący, powoli wzmagał się, rósł i rozszerzał, aż groźną falą owionął całkiem bladego człowieka, z pod stóp którego zdawało się że grunt się osuwał, tak mu one drżały i chwiały się, nad głową którego zdawało się że nowe zawisły ciemności, taki posępny wyraz na twarz mu spłynął. Szamotał się przez chwilę z tą falą jednego strasznego mnóstwem ust zadawanego pytania, aż fala ta odpłynęła i zostawiła go samotnym, nie tak jak samotnym jest żeglarz, który po długiem na morzu wędrowaniu stanął w bezpiecznéj przystani, ale jak opuszczonym znajduje się rozbitek, wyrzucony na dzikie, głazami najeżone wybrzeże. Fala groźnego pytania odpłynęła od bladego człowieka, bo ludzie odstąpili go jak zarażonego i cofali się póty, póki się jak najdaléj od niego nie odsunęli. Ci którzy się doń uśmiechali przedtem, przestali się uśmiechać, a ci co nań wprzódy nie patrzyli, poczęli nań patrzéć. I im więcéj odstępowała odeń fala głosów, tem więcéj go ogarniała fala spojrzeń, straszna fala złożona z tylu strumieni, ile tam było oczu, a każdy strumień niósł z sobą mętną pogardę, a mętna pogarda łączyła się z jaskrawemi błyskawicami oburzenia. I całe to grono ludzi próżnych i błyskotliwych, zmieniło się odrazu w koło sędziów i indagatorów, bo we wszystkich sumieniach podniósł się na widok podłości przyrodzony głos cnoty, a wspomagały go dzielnie pojęcia o honorze, którego zostawać przedstawicielami w społeczności swéj, ludzie ci bogaci i wysoko postawieni obowiązkiem swym być mienili. Być bogatym — to rzecz piękna i szanowna. Zdobyć sobie miljony, nic nad to lepszego. Ale wygrzebać miljony te z popiołów spalonéj woli ojcowskiéj, z krzywdy cudzéj, z poszkodowania sióstr własnych, —było to już potwornem, tak potwornem, że każdy z obecnych przypomniał sobie, że był także ojcem, synem lub bratem, i zadrżał, i stanął w postaci sędziego, i z obu organów swego wzroku cisnął na oskarżonego dwa strumienie pogardy, połączonéj z jaskrawemi błyskawicami oburzenia.

On czuł że tonie, i jak tonący obu rękami chwytał się bliskich mu sprzętów, a na śmiertelnie pobladłe jego czoło wypływały duże krople potu, które starał się ocierać trzęsącemi się rękami, starał się a niemógł, bo ręce odmawiały mu posłuszeństwa. A oskarżyciel jego opowiadał, a ludzie słuchali, i słuchał prawnik, i maczał pióro w atramencie, i gotował się pisać akt urzędowy oskarżenia i przygotowanéj przez nie restytucji....

On czuł że tonie, i probował jeszcze ratować się.

— Panowie! mówił drżącym i błagalnym głosem: prawo jest za mną! Któż mi dowiedzie żem zniszczył ojca mego testament? gdzie są dowody?

I probował raz jeszcze uśmiechnąć się po swojemu, to jest szydersko i z tryumfem. probował ale nie uśmiechnął się, bo Rudolf wskazał na drzwi przy których stali dwaj ludzie, ludzie niepozorni, sługi może, może lichwiarze, ludzie zaledwie odziani i z ciemnemi twarzami, ale straszni, straszni znać dla tego na kogo wytężyli z całą mocą wzrok mściwy i obelżywy, bo Henryk zachwiał się, krzyknął głucho i upadł na kolana.

— Oto świadkowie, wymówił oskarżyciel, oto ludzie którzy wiedzieli o przestępstwie tego człowieka, o pokrzywdzeniu przezeń gotowi świadczyć przeciwko niemu. Wyszukałem ich i przywiodłem,— co zaś wiedzą i jakiemi drogami doszli do świadomości téj, niech opowiedzą sami.

Okropne potem widziałam i słyszałam rzeczy. Świadkowie świadczyli, opowiadali, składali dowody, przytaczali nazwy dat i miejsc; obecni zapytywali, prawnik pisał, a z tego wszystkiego tworzyła się historja ciemna, przepaścista, historja człowieka który zanim jeszcze jako taki na świat wystąpił, powiedział sobie: będę miljonerem! Teraz ten człowiek jak wąż lub robak wił się po ziemi, i pełzał, i ręce podnosił, i obejmował kolana oskarżycieli swoich; szafirowe szkła stłuczone od uderzenia twarzy o posadzkę, podarły mu twarz w krwawe blizny, opadły i ukazały oczy nieprzytomne od trwogi, błyszczące gorączką strachu, zalane łzami bezwładnéj złości. Palce jego nie roztwierały się i nie zamykały jak wtedy, gdy zdawał się w przestrzeni pochwytywać snujące się w okół niego upragnione miljony, ale zwarły się w kurczowem załamaniu. Kiedy drżące wyrazy błagania milkły w jego ustach, kiedy fale spojrzeń pogardy i oburzenia ze wszystkich lejące się oczów, przyciskały jego głowę i kłoniły ją aż do saméj prawie ziemi, wydawał z siebie szept głośny a jednak zaledwie wyraźny, szept wiejący bezdnią trwogi i rozpaczy, jaka zdawała się coraz więcéj chłonąć wszystkie władze uczucia i myśli nieszczęśliwego, plącząc je w jakiś węzeł bezprzytomny, nierozwikłany.

O! postrachu dni moich, o maro moich nocy, pochwyciłaś mię więc! szeptał. Stało się to, czego głos dochodził do mnie z zachmurzonego nieba i głębi

ziemi, w jaką patrzyły wciąż oczy moje! O, to nieszczęsne biòro o dwóch zwierciadłach i sześcioramiennym świeczniku! Lękałem się go jak upiora od tego dnia, w którym on pojechał w świat, aby wynaleść... aby wynaleść i z popiołu wygrzebać wolę mego ojca!

Ostatnie wyrazy wymówił z wybuchem. Nie powstając z klęczek podniósł głowę i lękliwym wzrokiem potoczył do koła:

— Wiem, o wiem! zawołał, że mną pogardzacie dla tego, że nie stanąłem tu przed wami jako mur albo rycerz, ale wiję się u nóg waszych po ziemi jako wąż albo robak! Ach, nie byłem nigdy poetą! Lękam się, lękam się! tak dawno już lękam się i rano i wieczorem, i we dnie i w nocy, i w domu i na polu, że stałem się samą obawą, że nic już we mnie nie ma tylko obawa! O, dla miłości Boga, zlitujcie się nademną, nie oddawajcie mię w ręce sprawiedliwości, nie odbierajcie mi kawałka chleba, mego własnego kawałka chleba! Oddam wszystko co do kogo należy, ale puśćcie mię ztąd, nie oddawajcie w ręce sprawiedliwości!

Gwar wielki napełniał ściany salonu, ludzie chodzili, wracali, krzyżowali się, naradzali, a wszyscy mieli pałające zgrozą oczy i twarze blade przestrachem albo szkarłatne oburzeniem. A Rudolf opowiadał, a świadkowie mówili, a pióro prawnika wprawną prowadzone ręką skrzypiało po papierze. Nagle w jednéj z licznych grup ludzi głośno wymówiony zabrzmiał wyraz — kajdany! Na ten dźwięk okropny, z piersi obwinionego wydarł się długi wybuch nieprzytomnego śmiechu — i z ust jego popłynęły całkiem już bezładne i nieprzytomne wyrazy prośby, trwogi, wspomnień strasznych, gróźb obłąkanych.

Wtedy moja matka stanęła pomiędzy nim a ludźmi którzy go otaczali, i zwracając się do ostatnich, wyrzekła błagalnym głosem:

— Pozwólcie mu odjechać! niech naprawi krzywdy jakie wyrządził i zostanie w spokoju!

A dwaj lekarze którzy czuwali byli nad babką moją i znajdowali się jeszcze w domu, zbliżyli się do nieszczęśliwego i w twarz mu popatrzywszy, rzekli: Ten człowiek stracił rozum.

Po tych dwóch odezwaniach się, gwar cichł i roztapiał się niby uszanowaniem, niby litością nawskroś przejęty. Uszanowanie ściągało się do mojéj matki, która z poważną swą i pełną szlachetnego wdzięku postawą, stała tam między wszystkiemi i przemawiała za tym co ją pozbawił rodzinnego dachu. Litość budziła się dla człowieka, na którego wyrok upadł już z ust lekarzy, najstraszniejszy wyrok jaki ludzką istotę dotknąć może.

Ale i uszanowanie i litość miały tam w sobie fałszywą jakąś stronę, która przykro dźwięczała. W pierwszem było coś co odbijało w sobie czołobitność oddawna odzyskanemu bogactwu, w drugiéj więcéj było wstrętu i obrzydzenia niż chrześcijańskiéj miłości. Aż nad upadłym grzesznikiem, wkurczu się wijącym, obłąkanemi oczami toczącym dokoła i z ust wyrzucającym bezładne wyrazy zgryzoty, trwogi i wściekłości, stanął prawdziwy anioł litości i przebaczenia...

Anioł ten miał blade, zwiędłe nieco, błękitnookie i kryształowe łzami zalane oblicze Emilji...

Zbliżyła się ona do brata, uklękła przy nim, objęła go ramionami, i głowę jego złożywszy na swéj piersi mówiła z cicha: Henryku, jam siostra twoja! pierwsza przebaczyć ci powinnam i przebaczam, i kocham cię... teraz gdyś taki nieszczęśliwy!

W odmęcie rozpaczy i nieprzytomności w jakim był pogrążony, zrozumiał ją i podniósł na nią oczy, które nagle nabiegły wyrazem podobnym do tego, jaki napełnia wzrok zdziwionego dziecka.

— Siostra! wymówił wpatrując się w słodką twarz, która zwieszała się nad jego twarzą: któż mi teraz będzie siostrą, któż mi będzie bratem? Jam zbrodniarz, zbrodniarz! wolę ojca mego spaliłem i popioły jéj rozwiałem na cztery wiatry świata! Kajdany! kajdany! o przestrachu dni moich, o zmoro moich nocy. Wziąłeś mię więc w okropne kleszcze swoje!

Emilka pokropiła skronie brata orzeźwiającą wodą którą jéj podałam, i z siłą która niewiedzieć zkąd wzięła się w téj szczupłéj i delikatnéj istocie, podniosła go z ziemi. Chwiał się jak człowiek upojony, oczy jego to mgliły się i rozjaśniały nieprzytomnym uśmiechem, to z zadziwiającą szybkością obiegały wokół wszystkie przedmioty, jakby szukając czegoś z trwogą i pożądliwością zarazem.

Położyła rękę jego na swem ramieniu i patrzyła mu w twarz oczami, w których za srebrną osłoną łez, tkwiła bezdnia boleści a zarazem miłości.

Dawał się jéj powodować jak dziecko.

— Henryku! mówiła mu, obudź się, przyjdź do siebie! poznaj mię! Jam siostra twoja, stoję przy tobie i nie opuszczę cię! Jedna matka była twoją i moją matką, wzrośliśmy razem. Henryku! spójrz na mnie! ja się na ciebie za nic, za nic nie gniewam, ja tobą nie pogardzam! ja ciebie kocham. . tyś taki nieszczęśliwy ..

I nic więcéj nad te proste chrześcijańskie słowa wymówić nie mogła. Ale on usłyszał ją z głębi téj otchłani w jaką zapadł rozum jego, spojrzał na nią, wymówił jéj imię, i chwytając jéj rękę tak jak tonący chwyta deskę pływającą przed nim wśród morskich bałwanów, okropnym głosem zawołał: „Uciekajmy!“

Wszyscy obecni rozstąpili się śród ciszy ogólnéj, i w środku salonu utworzyło się wejście szerokie, którem postępowała ta dziwna para. On całym ciężarem swego ciała wspierał się na jéj ramieniu, powłóczył nogami jak starzec, bełkotał słowa niewyraźnie nieprzytomnym przerywane śmiechem i rzucał na wszystkie strony oczami obłąkanemi. Ona prowadziła go ze spokojem i powagą na czole, z dwoma niewyschłemi jeszcze strumieniami łez na policzkach, ze wzrokiem wpatrzonym gdzieś daleko, daleko, niby w wiekuistą nieskończoność... Przechodząc koło mnie uścisnęła mi rękę, i nachyliwszy si ku mnie szepnęła:

— Widzisz Wacławo: jak szczęśliwie los zrządził, że on mię nie pokochał... kto wie czy mogłabym teraz poświęcić życie moje nieszczęśliwemu bratu...

Nie będę się rozwodziła nad postępkiem Emilji.

Potępią go zapewne ludzie tak zwani srogich zasad, bo ujrzą w nim pobłażanie dla występku, ale znajdzie on oddźwięk w sercach wszystkich, którzy imię chrześcjan noszą nie tylko jako szyld wygody, a ze wszystkich ludzi kochają najwięcéj, najnieszczęśliwszych.

(d. n.)

ZACISZE

POWIEŚĆ S. J. TURGENIEWA

tłomaczona z rossyjskiego.

(Dokończenie.)

Astachof miał zamiar spiesznie wracać do domu, lecz nagle otrzymał wiadomość od starosty przez umyślnego, że w Sasowie zgorzało sześć chat, postanowił więc zaraz tam pojechać. Z gubernjalnego miasta do Sasowa było wiorst sześćdziesiąt. Astachof przybył ku wieczorowi do znanéj nam oficynki w Sasowie, natychmiast kazał zawołać starostę i pisarza, wyłajał ich należycie; nazajutrz rano obejrzał miejsce pożaru, wydał stosowne zarządzenia, i po obiedzie po niejakiem wahaniu się, wyjechał w gościnę do Ipatowa. Nie ruszyłby był z domu, gdyby nie otrzymał wiadomości od Flicza o wyjeździe Nadziei Aleksiejewny: nie miał bowiem wielkiéj ochoty z nią się spotkać, lecz rad byłby spojrzeć raz jeszcze na Marję Pawłównę.

Astachof zastał, równie jak i przy pierwszych swych odwiedzinach, Ipatowa ze *Zgodną Duszą* przy warcabach. Stary Ipatof ucieszył się z jego przybycia, lecz Włodzimirzowi Siergieiczowi zdawało się, że na twarzy Ipatowa malowała się pewna troska. Astachof z Janem Iliczem spotkali się w milczeniu, dla obu spotkanie to nie było przyjemne; wkrótce jednak uspokoili się.

— Rodzina pańska czy zdrowa? zapytał Astachof siadając.

— Zdrowi wszyscy, chwała Bogu, — bardzo dziękuję, odpowiedział Ipatof, — jedna Marja Pawłówna niezupełnie... ciągle w swoim pokoju przesiaduje.

— Czy zaziębiła się?

— Nie... tak coś. Przyjdzie na herbatę.

— A Jegor Kapitonicz? co porabia?

— Ach! Jegor Kapitonicz, człowiek zgubiony, — żona mu umarła.

— Czy może być?

— Umarła nagle. Nie poznałbyś go pan teraz, zupełnie się odmienił. „Bez Matreny Matfiejewny, powiada, życie mi ciężarem“.

— Biedny Jegor Kapitonicz! zawołał Włodzimierz Astachof.

Nastąpiło milczenie.

— Sąsiadka pańska, jak słyszałem, wyszła za mąż, odezwał się Astachof lekko zarumieniwszy się.

— Nadzieja Aleksiejewna? — tak jest wyszła.

Ipatof spojrzał z boku na Astachowa.

— Jakto? wyszła za mąż i zaraz wyjechała.

— Do Petersburga.

— Marja Pawłówna, sądzę że tęschni za nią, bo zdaje się były z sobą w przyjaźni.

— Tęschni, rozumie się. Lecz co się tycze przyjaźni, to powiem panu że przyjaźń panieńska to gorsza jeszcze od męzkiéj. Póki na oczach to dobrze, ale z daleka to się i zapomina.

— Czy tak pan sądzisz?

— Tak, jak mi Bóg miły. Oto naprzykład Nadzieja Aleksiejewna; jak wyjechała ani jednego listu do nas nie napisała, a przecież tak święcie przyrzekała. Prawda, ona teraz czem innem zajęta.

— A czy dawno wyjechała?

— Będzie ze sześć tygodni; zaraz po ślubie, po zagranicznemu.

— Powiadają, że brata jéj także nie ma w tych stronach.

— Nie ma. Ludzie to z wielkiego miasta, czyż mogą długo siedzieć na wsi.

— I niewiadomo gdzie wyjechał?

— Niewiadomo. Lecz coześ pan porabiał, panie Astachof?

Włodzimierz Astachof zaczął opowiadać o sobie. Ipatof słuchał, słuchał, w końcu zawołał:

— Lecz co to Marja nieprzychodzi. Janie Iliczu, czy nie poszedłbyś po nią.

Jan Ilicz wyszedł z pokoju i wróciwszy oświadczył że Marja Pawłówna przyjdzie zaraz.

— Czy głowa ją boli, zapytał Ipatof zcicha.

— Boli, odpowiedział Jan Ilicz.

Drzwi otworzyły się i Marja weszła. Astachof podniósł się, ukłonił i ze zdumienia słowa nie mógł wymówić; tak dalece zmieniła się od tego czasu, kiedy ją widział raz ostatni! Rumieniec znikł z jéj wychudłych policzków, czarna szeroka klamra otoczyła oczy, usta zacięły się, cała twarz zczerniała i bez ruchu zdawała się być skamieniała.

Podniosła oczy i w nich żadnego życia nie było.

— Jak się czujesz Marjo? zapytał Ipatof.

— Ja zdrowa, odpowiedziała i usiadła przy stole na którym kipiał już samowar.

Astachof dobrze się znudził tego wieczoru, lecz wszyscy byli nieweseli. Rozmowa nie szła jakoś.

— Patrzcie, odezwał się Ipatof, przysłuchując się powiewom wiatru, —jakie to trele wywodzi. Lato przeszło dawno, jesień już mija, wkrótce zima do nas zawita. Zasypie nas znowu naokoło. Żeby przynajmniéj, prędzéj śnieg upadł. A to jak wyjdziesz teraz do ogrodu, to smutek ogarnia... jakby jaka pustka.... tylko drzewa gałęziami stukają! Oj tak, minęły piękne dni!

— Minęły, powtórzył Jan Ilicz.

Marja milcząc spojrzała w okno.

— Bóg da — powrócą, rzekł Ipatof.

Nikt więcéj nie odezwał się.

— A pamiętasz pan, jak tu pięknie było kiedy śpiewano pieśni? zapytał po niejakim czasie Astachof.

— Jakże nie mam pamiętać! odpowiedział stary wzdychając.

— Pani mogłabyś śpiewać, mówił daléj Astachof zwracając się do Marji, masz pani tak piękny głos.

Marja nie odpowiedziała ani słowa.

- A cóż matka pańska? odezwał się znowu Astachof, nie wiedząc już o czem i mówić.

— Chwała Bogu, trzyma się jako tako przy swych cierpieniach. Dzisiaj jeszcze jeździła kolaską. Ona, powiem panu, jak nadłamane drzewo, skrzypi i skrzypi,—nie jedno silne i zdrowe powaliło się, a ono stoi i stoi, —he, he!

Marja opuściła ręce na kolana i schyliła głowę:

— Ale co to jéj za życie! przemówił znowu Ipatof. Sprawiedliwie powiedziano; „Starość nie radość".

— I młodość nie radością, rzekła Marja jakby do siebie.

Astachof chciał powrócić do domu, lecz na dworze zapanowała taka ciemność, że nie zdecydował się jechać. Przygotowano mu ten sam pokój sypialny na górze, w którym przed trzema miesiącami przepędził bezsenną noc z łaski Jegora Kapitonicza.

— Czy on też chrapie tak jak niegdyś? pomyślał Astachof, przypomniawszy sobie nauki, jakie dawał służącemu, i nagle zjawienie się Marji w ogrodzie...

Potem zbliżył się do okna i przyłożył czoło do chłodnéj szyby. Naraz, zdawało mu się, że coś białego mignęło przy ziemi; zaczął się mocniéj wpatrywać, wzruszył ramionami, i rzekłszy do siebie pół głosem: co to znaczy jednak wyobraźnia! położył się spać.

Zasnął wprawdzie prędko, lecz już takie było jego przeznaczenie, że i tym razem nie mógł nocy przepędzić spokojnie. Zbudził go nadzwyczajny ruch w domu... Podniósł głowę z poduszki... Słychać było zmięszane głosy, wołania, pospieszne kroki, rzaskanie drzwiami; to znowu dał się słyszeć płacz kobiecy, krzyki rozlegały się w ogrodzie, inne jeszcze daléj... Zamięszanie w domu co chwila wzmagało się. Myśl o pożarze błysnęła w głowie Astachowa. Przelękniony, zerwał się z łóżka i pobiegł do okna; lecz łuny wcale nie było, tylko w ogrodzie po scieszkach i między drzewami migały się czerwone światełka. To tak ludzie biegali z latarniami. Włodzimierz Astachof poszedł szybko do drzwi, otworzył je i spotkał się zaraz z Janem Iliczem, bladym, roztarganym, na pół ubranym, który się kręcił sam nie wiedząc po co i dla czego?

— Co takiego? co się zrobiło? zapytał niespokojnie Astachof, schwyciwszy go silnie za rękę.

— Zginęła, utonęła, w wodę rzuciła się, odpowiedział Jan Ilicz głosem zadyszanym.

— Kto się w wodę rzucił, kto zginął?

— Marja Pawłówna! któżby jak nie Marja Pawłówna!

Zgubił ją biedaczkę! ratujcie! biegnijcie co prędzéj moi drodzy!

To mówiąc Jan Ilicz popędził na dół po schodach. Astachof włożywszy na prędce buty i płaszcz na ramiona, puścił się za nim.

W domu nie zastał już nikogo, wszyscy wybiegli do ogrodu; tylko dwie dziewczynki, córki Ipatowa, spotkał w korytarzu wiodącym do przedpokoju. Na pół martwe z przestrachu, stały one w swych białych spódniczkach, z załamanemi rękami i bosemi nóżkami: przez bawialny pokój obok wywróconego stołu wybiegł Astachof na taras, w kierunku zaś grobli, po za krzakami migały światła i cienie.

— Bosaki! biegnijcie co prędzéj po bosaki! dał się słyszeć głos Ipatowa.

— Dawajcie sieć, łódkę! rozlegały się drugie głosy.

Astachof podążył w tę stronę. Zastał Ipatowa na brzegu stawu: latarnia zawieszona na gałęzi jasno oświetlała siwą jego głowę. Biedak załamywał ręce i chwiał się jak odurzony; obok niego, kobieta leżąca na trawie wiła się i jęczała, a naokoło kręcili się ludzie; Jan Ilicz wszedł już po kolana w wodę i zaczął po dnie szukać żerdzią; kuczer rozbierał się drżąc cały; dwaj ludzie ciągnęli łódkę wzdłuż brzegu; zdala ode wsi dochodził silny tętet kopyt, wiatr pędził gwiżdżąc, jakby usiłował pogasić latarnie, a staw pluskał, szumiał i czerniał ponuro.

— Bosaki dawajcie, bosaki? jęknął stary.

— Zmiłuj się, panie Ipatof, może się mylisz.

— Nie, nie! odezwała się płaczliwym głosem leżąca na trawie kobieta, pokojówka Marji Pawłówny; — sama nieszczęśliwa słyszała, jak ona, moja najdroższa panienka, rzuciła się w wodę, jak szamotała się w wodzie, jak zawołała: ratujcie, i potem jeszcze raz: ratujcie!

— A czemużeś jéj nie przeszkodziła!

— Jak ja mogłam przeszkodzić? przecież, kiedym się spostrzegła, to już jéj nie było w pokoju, tylko serce mi wróżyło jakieś nieszczęście. Zaraz też pobiegłam do ogrodu, jakby mi coś podszepnęło, słyszę zdaleka coś w wodę bult, a potem krzyk: ratujcie! ratujcie! —och, moje drogie państwo!

— Lecz może ci się tylko zdawało....

— Gdzie tam zdawało! a więc gdzie jest moja panienka? gdzie się podziała?

Tymczasem przybiegli ludzie z bosakami, przyniesiono sieć i zaczęto rozciągać ją na trawie; zebrało się mnóstwo ludzi, wszczął się hałas... kuczer chwycił jeden bosak, starosta drugi, wskoczyli do łodzi, odbili od lądu i zaczęli szukać po wodzie, a z brzegu przyświecano latarniami.

—O, o!... coś zaczepiłem, zawołał nagle kuczer.....

Wszyscy stanęli jak wryci.

Kuczer przyciągnął do siebie bosak, pochylił się... coś czarnego, rogatego, zwolna spłynęło.

— Korzeń, powiedział kuczer i odjął bosak.

— Wracaj się, wracaj, zawołano z brzegu. — bosakami nic nie zrobicie, trzeba sieci.

— Tak, tak, sieci, powtórzyli drudzy.

— Poczekajcie, zawołał starosta; — i ja zaczepiłem bosakiem.... coś zdaje się miękkiego, dodał po chwili.

Biała plama pokazała się przy łodzi..

— Panna! krzyknął nagle starosta: — ona!

Nie omylił się. Bosak zaczepił Marję za rękaw od sukni. Kuczer ją natymiast pochwycił, wyciągnął z wody..... za dwoma uderzeniami wioseł byli już u brzegu... Ipatof, Jan Ilicz, Astachow ponieśli ją na rękach do domu; natychmiast ją rozebrano, zaczęto kołysać, ogrzewać... lecz wszystkie usiłowania pozostały daremne... Marja nie ocuciła się...

Na drugi dzień rano Astachof opuścił Ipatowkę, a po upływie tygodnia Ipatow odpisał w ten sposób na otrzymamy list od Nadziei Aleksiejewny:

„Tydzień już temu, jak nieszczęśliwa krewna moja, znajoma pani, Marja Pawłówna, samowolnie zakończyła życie swoje, rzuciwszy się w staw, w ogrodzie. Na ten czyn straszny i opłakany odważyła się, nie pożegnawszy się ze mną, nie pozostawiła nawet ani listu, ani najmniejszéj kartki z objawieniem swéj ostatniéj woli. Pani wiesz najlepiéj, na czyją duszę winien spaść ten wielki śmiertelny grzech! Niech Bóg Najwyższy osądzi twojego brata, lecz krewna moja nie mogła ani go zapomnieć, ani przeżyć rozłączenia"......

Nadzieja Aleksiejewna otrzymała list ten już we Włoszech, dokąd pojechała z mężem swoim hrabią de Stelczyńskim, jak go tytułowano po wszystkich hotelach. Oprócz hotelów widywano go często w domach gry, w kursalach na wodach.... Z początku przegrywał dużo pieniędzy, lecz później przestał grać i z twarzy jego poznać można było, że go spotkała jakaś awantura... Z żoną widywał się rzadko. Nadzieja Aleksiejewna nie tęschniła też za nim, upodobała sobie malarstwo, zaznajomiła się z wielu artystami i lubiła szczególniéj z młodszemi rozmawiać o piękności w sztuce i jéj znaczeniu jako pierwiastku cywilizacyjnym.

List Ipatowa zmartwił ją bardzo, nie przeszkodził jednak tego dnia jeszcze udać się do *Psiej Pieczary*, i przypatrywać jak biedne zwierzęta ginęły tam pogrążone w trujących wyziewach.

Udała się tam w towarzystwie kilku młodych ludzi. Pomiędzy nimi za najprzyjemniejszego uważany był pewien malarz, rodem francuz p. Popelen, z bródką, w kraciastéj kurtce. Śpiewał tenorem najnowsze romanse, dowcipkował zręcznie, i chociaż był szczupłéj budowy ciała, zjadał jednak za dwóch Herkulesów.

VII.

Był jasny, mroźny dzień styczniowy: na Newskim prospekcie w Petersburgu mnóstwo przechadzało się osób. Zegar na wieży ratuszowéj pokazywał trzecią godzinę. Śród innych, serokim kamiennym chodnikiem wysypanym żółtym piaskiem, szedł dawny nasz znajomy Włodzimierz Siergieicz Astachow. Od czasu ostatniego z nim rozstania się naszego zmężniał, zapuścił faworyty, nabrał tuszy, lecz nie zestarzał się. Szedł za tłumem nie spiesząc się, i niekiedy tylko oglądał się oczekując żony, która wraz z matką miała nadjechać

powozem. Już od pięciu bowiem lat Astachof ożenił się tak jak pragnął, i miał żonę bogatą i połączoną związkami familijnemi ze znakomitemi osobami. Grzecznie uchylając błyszczący swój kapelusz przy spotkaniu z licznemi znajomemi, Astachof szedł krokiem człowieka zadowolonego ze swego losu, gdy przy samym pasażu o mało nie potrącił o jakiegoś jegomości w czapce, z twarzą dobrze przeżytą, z farbowanemi wąsami i z wielkiemi oczyma nieco zamglonemi. Astachof z powagą usunął się, lecz jegomość w czapce spojrzał na niego i nagle zawołał:

— Witam! panie Astachof.

Astachof nie odpowiedział nic i zatrzymał się zdziwiony. Nie mógł pojąć, jakim sposobem człowiek który odważył się iść w czapce po Newskim prospekcie, mógł znać go z nazwiska.

— Nie poznajesz mię pan, mówił dalej jegomość w czapce: — widziałam się z panem przed ośmiu laty na wsi u Ipatowa. Jestem Wieretjef.

— Ach! mój Boże! wybacz pan! zawołał Astachof, lecz tak zmieniłeś się od tego czasu...

— Tak jest, zestarzałem się, odrzekł Piotr Aleksieicz i potarł po czole, ręką na której nie było rękawiczki: — lecz pan wcale się nie zmieniłeś.

Wieretjef nie tyle zestarzał się, ale raczej upadł na siłach i opuścił się. Drobne zmarszczki pokryły twarz jego, a kiedy mówił, usta i policzki mimowolnie mu drgały.

— Ale gdzie to pan bawiłeś przez cały czas ten kiedyśmy go nie widzieli, zapytał Astachof.

— Włóczyłem się po różnych stronach. A pan ciągle w Petersburgu?

— Po większej części.

— Ożeniłeś się?

— Ożeniłem.

To powiedziawszy Astachof przybrał nieco zimną fizjonomję, jakby chciał dać do zrozumienia Wieretjewowi: tylko niech ci bratku nie przyjdzie ochota prosić mię, abym cię przedstawił mojéj żonie.

Wieretjef zdawało się, że domyślił się téj jego obawy, gdyż umilkł nagle i uśmiechnął się nieznacznie.

— A siostra pańska gdzie teraz? zapytał Astachof.

— Nie mogę powiedzieć z pewnością. Zdaje się że w Moskwie, dawno nie miałem od niéj wiadomości.

— Mąż jéj żyje?

— Żyje.

— Ja jeszcze raz potem odwiedziłem Ipatówkę, odezwał się Astachof, ze smutnym wyrazem twarzy; — było to w sam dzień pewnego strasznego wypadku...

— Tak, tak, to straszne, to okropne, przerwał nagle Wieretjef... A czy pamiętasz pan, że o mało co nie strzelałeś się z moim teraźniejszym szwagrem? wtenczas kiedy tak stchórzyłeś.....

— Hm! pamiętam, odpowiedział zwolna Astachof. Zresztą, przyznam się panu, iż już tylu czasu od tego zdarzenia upłynęło, że wszystko to wydaje mi się jakby sen jaki....

— Jak sen, powtórzył Wieretjef, i blade jego policzki zarumieniły się: jak sen... nie, to nie był sen, przynajmniéj dla mnie To był czas młodości, wesołości i szczęścia, czas nieograniczonych nadziei, a jeżeli to był sen, to sen przecudny. A cóż teraz? zestarzeliśmy się, zgłupieli, wąsy farbujem, włóczemy się po Newskim prospekcie, na nic nie przydatni jak rozbite szkapy,—zmordowani, zużyci, niby osłaniamy się powagą, miny strojemy, próżnujemy, i jak wypadnie żal winem zalewamy. Życie takie raczéj należałoby nazwać snem, a do tego snem szkaradnym, jako przeżyte bez celu, niedorzecznie, płasko obrzydliwie. To właśnie chciałbym otrząsnąć jak sen, z tego chciałbym się ocknąć... a przytem wszędzie i zawsze jedno straszne wspomnienie, jedna mara.... Żegnam pana.

Wieretjef szybko oddalił się, lecz gdy mijał jednę z głównych cukierni na Newskim prospekcie, zatrzymał się, wstąpił do niéj, wypił kieliszek pomarańczówki i przeszedłszy salę bilardową ciemną od dymu tytuniowego, wszedł do tylnego pokoju. Tam zastał wielu swych znajomych, dawnych towarzyszy, wszyscy, byli to ludzie już nie młodzi, po większéj części bezżenni; jedni wyłysieli, u drugich przebijała siwizna, twarze ich zmarszczki pokryły,— słowem: byli to ludzie wszyscy niestarzy, ale przeżyci, znudzeni życiem którego już na swój sposób nie mogli prowadzić. Uważali oni Wieretjewa za człowieka niepospolitego, który powinien świat zadziwić swemi zdolnościami, a on w tem tylko był rozumniejszym od nich, że znał wybornie swoją nicość.

Przyjaciele przyjęli chętnie Wieretjewa, z początku zasmucił ich swem ponurem usposobieniem, lecz wkrótce uspokoił się, rozweselił i zabawa poszła zwykłą koleją.

Astachof, po odejściu Wieretjewa spochmurniał. Niespodziane koncepta Wieretjewa zmięszały go, a nawet sprawiły mu przykrość.

„Pogłupieli, wino pijemy, wąsy farbujem..." możesz to powiedzieć o sobie, mój drogi rzekł prawie głośno, odchrząknął parę razy z gniewu i poszedł na dalszą przechadzkę.

— Kto to z panem rozmawiał? rozległ się po za plecami jego głos silny.

Astachof obejrzał się i ujrzał dobrego swego znajomego niejakiego p. Pompońskiego, wysokiego wzrostu i dobréj tuszy, jak zwykle bywa u ludzi co zajmują dobre posady i nie wątpią nigdy w swą szczęśliwą gwiazdę.

— To dziwak jakiś, odpowiedział Astachof, wziąwszy Pompońskiego pod rękę.

— Zmiłuj się, Włodzimierzu Siergieiczu, czyż wypada człowiekowi porządnemu rozmawiać na ulicy z indiwiduum w czapce? To nieprzyzwoicie! Dziwi mię to. Gdzie to pan zaznajomić się mogłeś z podobnym subjektem?

— Na wsi.

— Na wsi?... Sąsiadom ze wsi kłaniać się w mieście nie należy..... *ce n'est pas comme il faut.* Dżentlmen zawsze powinien pamiętać o sobie..

— Oto i moja żona, przerwał spiesznie Astachof. Pójdźmy do niéj.

I oba dżentlmeny udali się do małéj, eleganckiéj karetki, z któréj wyglądała blada, zmęczona, nieukontentowana i dumna twarzyczka, kobiety jeszcze młodéj lecz już przekwitłéj urodą. Obok niéj siedziała druga dama, z fizjonomią także gniewliwą,—jéj matka. Astachof otworzył drzwiczki karety, podał rękę swéj żonie, Pompoński poprowadził jego teściowę i obie pary poszły przechadzać się po Newskim, prospekcie, a za niemi postępował nie wielkiego wzrostu lokaj, brunet, w piaskowych kamaszach i z wielką kokardą u kapelusza.

KONIEC.

KAMIENNE SERCE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Golo-Raymunda

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

— Myślisz? zapytała Ingeborga z bolesnem powątpiewaniem. Poczciwa, szczęśliwa w swojéj prostocie istota, nie zaznałaś w cichym swoim świecie złości ludzkiéj i intryg! Matka mego męża i on, dalecy od tego aby mi umilić smutną ścieżkę życia, z okrutną radością depczą każdy kwiatek, który na jéj brzegu zakwitnie. Ona zabija mię nudami, chcąc wrzący mój artystyczny umysł przykroić według ciasnych ramek swoich własnych wyobrażeń,— on przebiegłą złośliwością nie kochając prześladuje mię zaciekłą zazdrością, podejrzywa myśli moje, i w najohydniejszem świetle przestawia moje postępowanie. Oderwana od wszystkiego co kocham, mam wyrzec się nawet moich wspomnień o sztuce, o Lapinskim?

— Ale pani tego nie uczynisz, zawołała właścicielka fabryki z oburzeniem. Nie ulegniesz pani przecież tak okrutnym żądaniom?

— Tak, nie ulegnę, rzekła Inegeborga, jeżeli Bóg zeszle mi pomoc w mojem nieszczęściu. Przed kilku tygodniami Lapinsky odwiedził mojego ojca w Amstetten, i sprawił mi swojem przybyciem wielką nieopisaną radość. Ale mąż mój zniszczył tę radość szorstką ręką, pokalał czysty stosunek swojem podejrzeniem, dręczył mnie i obrażał mego przyjaciela, tak, że moje błaganie zaledwie zdołało przywrócić pokój między nimi. Lapinsky pojechał aby więcéj nie wrócić, a ja—o Georginio, musiałam zostać!

Właścicielka fabryki otarła lekko łzy, które jéj współczucie rzeczywiście wycisnęło, czem hrabina widocznie zadowolona, mówiła daléj z podniesionym patosem:

— Byliśmy więc rozłączeni, a ja, samotna, straciłam wszelką nadzieję. Mąż mój zabronił wszelkiego zbliżenia, wszelkiego słowa pociechy, wszelkiego przypomnienia pomiędzy mną a Lapinskim, i grozi rozwodem jeżeli odważę się przekroczyć jego zakaz. Strzeżona, podglądana na każdym kroku nigdy nie będę miała sposobności ujrzenia znowu przyjaciela, i nigdy nie będę mogła zapewnić go, że wierność moja jest silniejszą, niż okrucieństwo ludzkie, jeżeli jaka litościwa dusza nie udzieli pomocy memu sercu pogrążonemu w rozpaczy. Ty milczysz Georginio, ale znajdziesz przecie dla mnie słowo zachęty i uspokojenia, gdy ci powiem, że Lapinsky jest w pobliskiem miasteczku, tylko o pięć godzin ztąd oddalonem, gdzie leży chory, tęskniąc za chwilą, w któréj będzie mógł ujrzeć mię znowu, i że umrę jeżeli mię ominie ta pociecha. Pisał do mnie, kramarka handlująca koronkami przyniosła mi list; ale jeszcze nie odpisałam, bo odpowiedź moja zależy od ciebie.

— Odemnie? zapytała Georginia zdziwiona.

— Od ciebie. Mąż mój nie przyjął waszego zaproszenia na jutrzejszy bal, a przybędę sama; jeżeli więc masz dla mnie choć trochę przyjaźni, jeżeli doprawdy litujesz się nademną, to mi dopomożesz, abym mogła widzieć się parę godzin z Lapinskim

Napiszę do niego że go zapraszasz, twój woźnica lub służący doręczy mu list jeszcze dzisiaj, a jutro podczas balu,Lapinsky przybędzie tu niepostrzeżony.

Jakkolwiek pani Steinlach miała wielkie nabożeństwo dla osób wyższego urodzenia, to polecenie i zaufanie, ktorem została zaszczycona, było jéj trochę nie na rękę. Byłaby wiele dała w téj chwili, gdyby mogła być nieco daléj od arystokratycznéj artystki, nie miała jednak odwagi odrzucić wprost jéj prośbę.

— A nuż się kto dowie, rzekła zakłopotana, mój mąż jest w takich rzeczach bardzo skrupulatny, a powinnam też mieć wzgląd na młodość Malwiny.

— Moja poczciwa Georginio, wznieśże się też choć raz po nad poziom twojego stanu. Przy twoim majątku i twoich osobistych zaletach, taka parafiańska bojaźliwość jest doprawdy nie na swojem miejscu, zachęcała Ingeborga.

Nie można było zręczniéj i skuteczniéj ugodzić w słabą stronę Georginii jak temi słowy,—wzmianka o parafiańszczyznie usunęła wszelką wątpliwość.

— Dobrze, łaskawa pani hrabino, myślmy więc tylko o pani nie o mnie, odpowiedziała zdecydowawszy się prędko. Wśród mnóstwa gości, schadzka w sali balowéj nie zwróci niczyjéj uwagi.

— Tak... tak... rzekła Ingeborga namyślając się, ale to nie jest to czego pragnę. Chciałabym widzieć się z nim swobodnie, w małym skromnym pokoiku, ale nie w sali błyszczącéj światłem. Godzinkę tylko chciałabym z nim pomówić, jedną krótką godzinkę,— nędzna zapłata za życie. Chciałabym go wzmocnić słowami pociechy, dodać mu odwagi do wyrzeczenia się mnie i oddania się sztuce. Nie wiele czasu i miejsca do tego potrzeba,—nie odmówisz mi przecie téj godziny pożegnania, która ma poświęcić go do nowego życia.

— Ale gdzie go pomieścić? zapytała Georginia siebie raczéj niż przyjaciołki. Malwina nie może wiedzieć o niczem, jest dzieckiem i mogłaby nabrać całkiem fałszywego wyobrażenia o takiéj przyjaźni.

Doprawdy trudno obmyśleć pokój, do którego mogłabym wzbronić jéj przystępu bez obudzenia w niéj jakich podejrzeń, zwłaszcza że jutro wszystkie pokoje będą potrzebne.

— Zdaję się zupełnie na ciebie, moja najdroższa, rzekła uprzejmie Ingeborga, nie rób ceremonji i nie myśl że wymagam przepychu.

— Na piętrze wszystkie pokoje potrzebne będą do przyjęcia gości, do tańcu i do gry,—na dole będą urządzone garderoby i pokoje gościnne, mówiła daléj pani Georginia; w istocie zostaje mi tylko jedna mała izdebka, gdzie pan Hood pracuje niekiedy, jeżeli nie chce schodzić na dół do swojego mieszkania. Pokoik ten łączy się jedną stroną z domem naszym, a drugą z fabryką. Jest bardzo skromnie urządzony, sofka, stolik i kilka plecionych krzeseł stanowią całe jego umeblowanie; wątpię aby pani hrabina chciała się na to zgodzić. A zresztą czyż nie byłoby lepiéj, aby pan Lapinsky ukazał się swobodnie w towarzystwie jako mój gość? W jednym z małych gabinetów, które będą urządzone przyzwoicie, pani hrabina mogłabyś przecież pomówić z przyjacielem. O! tak, tak będzie lepiéj, dogodniéj i stosowniéj.

— Nie, nie, odpowiedziała Ingeborga stanowczo, to nie uchodzi. Nie znasz podejrzliwości i zazdrości mego męża. Ach! cóżby on nie zrobił gdyby usłyszał, że mój biedny nieszczęśliwy przyjaciel był tu obecnym. Ani mój ojciec nie może wiedzieć o niczem, nie chcę nikogo narażać na niebezpieczeństwo.

Odstąp mi ów pokoik przy fabryce, dla mnie będzie on rajem. A teraz proszę ćwiartkę papieru, trzeba mu donieść, że jego Ingeborga nie jest opuszczona od całego świata, że znalazła wierną i czułą przyjaciołkę.

Podczas gdy Ingeborga pisała, pani Steinlach w niemałem zakłopotaniu udała się do owéj izdebki, w któréj rzadkim była gościem, aby zobaczyć w jakim jest stanie. Teraz dla miłości swojéj dostojnéj przyjaciołki czyniła dobrowolnie to, czego przed godziną tak bardzo wypierała się przed panią Sybillą, bo aby nie wzbudzić niczyjéj uwagi, sama obcierała meble z kurzu bez względu na swoje ręce, zbierała nawet starannie strzępki bawełny, które tu i owdzie leżały na podłodze. Gdy wróciła do swego pokoju, służący oznajmił, że woźnica, który pana domu przed trzema godzinami odwoził do stacji kolei żelaznéj, przybył już, i że z rozkazu pana upomina się o list, który pani ma dać; dla odwiezienia do najbliższego miasteczka.

Ingeborga spojrzała znacząco na przyjaciołkę.

— To wybornie, szepnęła jéj do ucha, dajże mu także list do Lapińskiego, a tak unikniemy wszelkiego podejrzenia.

— Ależ to całkiem w przeciwnym kierunku, rzekła nieśmiało pani Steinlach.

— Sądzę przecież, że mój list jest pilniejszy, rzekła niecierpliwie Ingeborga. Pomyśl, że to pięć godzin drogi. Południe już dawno minęło, a gdybyśmy kogo dopiero jutro rano z listem posłały, mogłoby się zdarzyć, że Lapinskiego nie zastałby w domu.

— Masz pani hrabina słuszność, odpowiedziała Georginia, usłużna jak zawsze. List mego męża wyślę później, to wszystko jedno.

Wziąwszy naperfumowany i zapieczętowany liścik, który leżał na biórku, podała go służącemu, z poleceniem: aby Franciszek natychmiast z nim pojechał, dla doręczenia panu do którego jest zaadresowany, i aby przywiózł odpowiedź.

Służący zniknął, a Ingeborga, która wyjeżdżając z domu uprzedziła męża, że aby się nie przeziębić zanocuje w Bonrath i nie wróci aż po balu, miała znowu sposobność doświadczać grzeczności swojéj serdecznéj przyjaciołki. Georginia upewniwszy się, że papier, który jéj mąż jako nader ważny doręczył, jest ciągle bezpieczny w jéj kieszeni, i postanowiwszy wysłać go zaraz po balu, gdyż pierwéj trudno byłoby oderwać któregokolwiek służącego od pilnych zajęć domowych, oddała się całkiem rozmowie z Ingeborgą i wkrótce zapomniała nietylko o kłopotach finansowych swego męża, lecz i o dziwnem zjawieniu się ciotki Sybilli w zamiarze podania ręki pomocnéj.

VI.

Ze wszystkich okien domu Steinlachów biło światło, kwiaty i lampy zdobiły sień, a kobierce rozłożone na wschodach po których balowe wstępowały piękności, sięgały aż po sam zajazd. W pośrodku tego morza światła, które bijąc promieniami na wszystkie strony, rozlewało się po salach i pokojach, stała pani domu z radością w oku i tryumfem na uśmiechniętych wargach. Było to jéj dzieło, i udało się; radosne to uczucie wybiło z głowy próżnéj i lekkomyślnéj kobiecie wszystkie inne myśli. Cały dzień była na nogach, tu coś zganiła, tam poprawiła, tu trzeba było chwalić, tam połajać, i tym sposobem całą służbę utrzymywała w ciągłym ruchu.

Wszystko przewidziała, o wszystkiem pamiętała, nawet o Lapinskim, który istotnie przybył popołudniu, zupełnie niepostrzeżony, jak to ułożyła czuła jego przyjaciołka. Wysiadł z bryczki na parę set kroków przed fabryką, przyszedł prawie niewidzialny, i od téj chwili, gdy go pani Georginji oznajmiono, zniknął z przed oczu służby. Chociaż mały pokoik Ryszarda nie był tak świetnie urządzony jak inne komnaty, Ingeborga bowiem prosiła, aby sobie nierobiono żadnego zachodu, to jednak pasztet z kuropatw i parę butelek szampana, które pani Georginia sama tam zaniosła, okazywały, że niezapomniano o potrzebach ciała, co Ingeborga, znając dobrze swego ulubionego, przekładała nad wszystkie inne względy.

W téj chwili jednak Ingeborga opuściła przyjaciela, i wspaniale ubrana, chociaż nie piękniejsza jak zwykle, stała obok pani domu. Koniecznością było ukazać się w sali balowéj, aby jéj nieobecność nie zwróciła uwagi; pani Georginia prosiła o to bardzo usilnie, co było najlepszem dowodem,że próżna, nierozsądna kobieta uznawała przecież że ją ta schadzka kompromituje.

Cały dzień jakiegoś nieprzyjemnego doznawała uczucia, które ustąpiło dopiero teraz wśród blasku światła, pod wpływem przepychu w około, gdy przypomniała sobie obowiązki swoje jako pani domu. Teraz z niecierpliwością i rozkoszą przysłuchiwała się turkotowi nadjeżdżających powozów, rozdawała tu uśmiechy, tam grzeczności, i upajała się nawzajem komplementami i pochwałami zdumionych przyjaciół i gości.

Chociaż Malwina nie wdziała na siebie wszystkich bogatych strojów i kosztownych klejnotów, które matka ofiarowała jéj tego rana na wiązanie, ślicznie jéj jednak było w prostéj białéj sukience, a nawet smutek, który jak lekka mgła otaczał świeżą jéj postać, dodawał jéj nowego wdzięku. Wprawdzie już dawno cieszyła się spodziewanym balem pierwszym, na którym miała się znajdować, ale byłaby wolała, aby go odłożono, aż do powrotu ojca lub Ryszarda. Żywo uczuła dzisiaj, jaką podporą był dla niéj Ryszard: nawykła bowiem wszystko co miała mówić lub czynić, stosować do jego spojrzeń zawsze na nią zwróconych i wyrażających pochwałę, lub zachętę a czasem naganę. O, jakże miłą jéj była ta tkliwa opieka, jakże orzeźwiająco wnikało jego wejrzenie w głąb jéj serca! W téj chwili, gdy tyle ócz zwracało się na nią z podziwieniem, co żadnéj nie sprawiało jéj przyjemności, przypomniała sobie Malwina dziwny, rozkoszny czar tego uroczego wejrzenia a pod wpływem tego wspomnienia, nieznane uczucie wstrząsło młodem jéj sercem. Ciągle jeszcze miała nadzieję, że Ryszard przybędzie dzisiaj: były to przecież jéj urodziny, a jak się Malwinie zdawało, przywiązywał zawsze pewną wagę do tego dnia. Ale dzień już się kończył, a niestety! kończył się bez niego. Spojrzała na zegar i cień smutku osiadł na jasnem czole dziewczęcia.

Nie podobna jednak było jéj w skutek tych myśli usuwać się od gości. Była bowiem punktem środkowym ogólnéj uwagi, przedmiotem rzeczywiście szczerego podziwu, który w jéj matce obudzał najdziwniejsze prawie szalone nadzieje. Młodzi i starzy wygrzewali się w wiosennym blasku jéj piękności i dziecinnéj swobody, a baron Wallmuth przyznawał, że przewyższała nawet jakąś pannnę Sonntag, którą bardzo dobrze znał w czasie jéj młodości.

Towarzystwo już się zebrało, liczba zaproszonych była już zupełna, gdy przybył jeszcze jeden, niespodziewany gość. Był to przystojny, dziarski oficer od huzarów, którego zapewne dobrze tutaj wi-

dziano, bo pani domu nietylko bardzo wesołem powitała go wejrzeniem, ale i córki zawołała, mówiąc tak głośno, że słyszeli wszyscy obecni:

— Malwino, chodź tutaj moje dziecię, hrabia Amstetten przybył złożyć ci swoje życzenia.

Malwina bardzo lubiła Feliksa Amstetten i wcale się z tem nietaiła. Nikt nie umiał tak zabawnie z nią się sprzeczać, tak poważnie rozmawiać o drobnostkach, z nikim się tak serdecznie jak z nim nie śmiała.

Dla tego też nie tłumiła wcale w sobie i nie ukrywała radości, jaką sprawiła jéj grzeczność jego, owszem z całą serdecznością i szczerością dziękowała mu za kwiaty, które jéj przywiózł na wiązanie, a które, jadąc konno, musiał troskliwie osłaniać od wiatru i słoty.

— I pan Hood jeszcze przybędzie, opowiadał hrabia Feliks w toku rozmowy. Poznał mię pomimo ciemności, gdym przejeżdżał koło jego bryczki, bo zawołał na mnie po imieniu. Pozdrowiszy go popędziłem naprzód, bo moja Judyt, osobliwsze zwierzę, jakby wiedziała że mi było pilno.

— Przyjedzie? doprawdy, doprawdy? pytała Malwina wesoło, a kwiaty widocznie drżały w jéj ręku.

— Niezawodnie, zaręczał Feliks. Nie jak wiatr, nie na skrzydłach miłości, ale przybędzie.

Słowa te nieprzyjemnie dotknęły Malwinę.

— Sądzisz pan, że mię nie kocha? zapytała trochę złośliwie.

— I owszem, kocha, rzekł z uśmiechem oficer, a nawet po ojcowsku. Ale do tego nie potrzeba mu skrzydeł, bo jak pani wiesz, miłość ojcowska chociażby najsilniejsza nie bywa nigdy gwałtowna.

Dziewczę umilkło, niezrozumiawszy słów Feliksa lecz nim miała czas zastanowić się nad ich znaczeniem, na nowo zaczęto taniec. Na jéj licu zajaśniała radość, łatwa do wytłomaczenia, bo przyjazd Ryszarda przybliżał się z każdą minutą. Kto ją widział przed dwoma godzinami, nie poznałby jéj teraz, tyle szczęścia i życia odbijało się na jéj twarzy. Ci, którzy nie spuszczali z niéj oka, byli pewni, że nic innego, tylko przybycie hrabiego Amstetten sprawiło taką zmianę w jéj usposobieniu. Zdawało się im nawet, że jeszcze nigdy nie widzieli Malwiny tak wesołą, — toż samo zdawało się i Feliksowi. Ośmielił się więc zapytać jéj, czy jego obecność doprawdy sprawiła jéj jaką przyjemność.

— O, wielką, wielką, odpowiedziała z czarującą szczerością, teraz dopiero zacznie się dla mnie właściwa zabawa. Ucieszyłam się że pan o mnie pamiętałeś, a jeszcze bardziéj tem że mogę tańczyć z panem, zawsze sobie myślałam, że to będzie cóś wybornego.

Oczy młodego człowieka zajaśniały radością, nie miał czasu odpowiedzieć, bo taniec właśnie się zaczął, rzekł więc tylko:

— Ach, jakże mię uszczęśliwiają słowa pani!

Mówił dość cicho, a jednak gdy przebiegał z swoją tanecznicą tuż koło drzwi, w których stała grupa nietańczących, słowa jego dobiegły do ucha wysokiego, poważnego mężczyznę, którego palące wejrzenia ścigało ulatującą piękną parę.

Był to Ryszard, który przybył w półgodziny po hrabi Amstetten i udał się zaraz do sali, aby podobnież złożyć Malwinie swoje życzenia.

— Czyż nie piękna? spytał jakiś pan, który stał obok Ryszarda i postrzegł, iż tenże nie spuszcza oka z Malwiny.

Zagadnięty skinął milcząco.

— Co za para! zawołał ktoś inny. Doprawdy, Feliks rozumniejszy od swego brata; dziesięciokrotnie wynagrodzi on sobie tem małżeństwem niemożność posiadania majoratu.

— Czy sądzicie panowie, że to małżeństwo jest już ułożone? zapytał cierpko Ryszard. Była to niejako wymówka za niedyskrecję, a jednak drżał na samą myśl co mu odpowiedzą.

— Oczywiście, odpowiedział tamten obojętnie. Wiesz pan o tem zapewne lepiéj od nas, a niezaprzeczalbyś, gdybyś jak ja był obecny w chwili przybycia hrabiego. Malwina zanadto jeszcze jest dziecinna, aby potrafiła panować nad swemi uczuciami, to też twarzyczka jéj zajaśniała zaraz radością i szczęściem, jakby słońce nad nią weszło. Pierwéj taka smutna, potulna, zmieniła się zaraz jak tylko przybył Amstetten.

Ryszard milczał; powinien był przewidzieć że tak będzie, gdy więc chwila stanowcza nadeszła, cóż go tak zatrwożyło? Amstetten pragnął i potrzebował żony bogatéj; czyż Ryszard dla tego tak smutno patrzył na szczęśliwych, że przywoził do domu niepomyślne wiadomości? Czy go trwożyła przyszłość Malwiny, czyli też jego własna?

W tem Malwina zbliżyła się do niego, rozpromieniona, uradowana— lecz gdy jasne wesołe jéj oko na nim spoczęło, pomimo całego swego rozsądku zapomniał o przyszłości, oszołomiony teraźniejszością. Jakżeż mu się piękną, świeżą i dobrą wydała! Ryszard nigdy tego tak żywo nie uczuł, jak w téj chwili, gdy stała obok Feliksa, który dorównywając jéj wszystkiemi zaletami duszy i ciała, zdawał się mieć wszelkie prawo ubiegania się o jéj miłość.

— Pan już tu, panie Hood? otóż to mi pośpiech, zauważył hrabia; nie sądziłem, że pan przybędziesz tak wcześnie.

— A jednak założyłbym się, że zapóźno jeżeli miał ochotę tańczyć z panną Malwiną, rzekł jakiś siwy jegomość. Hrabia Amstetten pewnie już zamówił ją do wszystkich tańców. Chyba poprosimy orkiestrę, aby przyczyniła jaki taniec nadliczbowy.

Malwina rozśmiała się.

— Ryszard miałby tańczyć ze mną? zawołała: co też to pan mówi panie radco?

— O, mnie nie wykręciłabyś się pani tak łatwo, rzekł radca. Gdybym był w jego latach, musiałabyś tańczyć ze mną, choć Bóg wie co by się stać miało. I dla czegóż, panie Hood, tak cierpliwie przyjmujesz odkosza i nie myślisz nawet puścić się odbijanego?

Ryszard odpowiedział z wymuszonym uśmiechem:

— Zapytaj pan Malwiny, czy się zgodzi na zamianę.

— Nie! odpowiedziała otwarcie. Pojąć nie mogę jakby to było, gdybyśmy ze sobą tańczyli. W każdym jednak, razie zdaje mi się, że nie byłoby to zbyt pięknie.

Patrzyła to na Ryszarda, to na Amstettena, który będąc szczupłym i wysmukłym, a do tego wobcisłym mundurze huzarskim, jak chłopiec wyglądał obok wyrazistéj, męzkiéj postaci Ryszarda.

— Nie, rzekła jeszcze raz, podając rękę Ryszardowi, my tańczyć nie będziemy; jeżeli mam tańczyć, to z innymi.

Ryszard przymuszał się do uśmiechu, czuł sam, że był stary. Lecz zkądże to ciągle i ciągle nasuwały się mu myśli o miłości, dawno zapomnianéj, a tak samotnéj i smutnéj? Cóż to właściwie przebijało się w głosie Malwiny, że radca spojrzał na niego z takim dziwnym uśmiechem? Odezwało się w nim uczucie wstydu, gdy postrzegł, że ktoś zdołał wyczytać w jego duszy to, czego sam nie chciał wyznać przed sobą, i przestraszył się, że może i Malwina poznała jego słabość. Chciał uciec ztąd czemprędzéj do swego samotnego pokoiku, ale pierwéj wypadało mu pomówić z panem Steinlach. Nadaremnie jednak oglądał się za nim. Właścicielka fabryki zapytana o męża, odpowiedziała mu z cicha, że otrzymawszy depeszę telegraficzną z doniesieniem o bankructwie jednego z wielkich domów handlowych w Ameryce południowéj, wyjechał spiesznie do Hamburga.

Ryszard osłupiał.

— A pani dajesz bal? rzekł z boleśnym wyrzutem.

— Na miłość boską, nie psuj mi pan wieczoru, odpowiedziała; jutro gotowam wysłuchać pańskiego kazania, ależ nie dziś na miłość Boską! Zresztą nie mogło być inaczéj; urodziny dziecka należało przecież obchodzić. Hrabia Feliks był już od kilku miesięcy zaproszony, i sama Malwina niecierpliwie oczekiwała téj uroczystości. Młodemu kochającemu sercu nie weźmiesz pan przecież za złe téj drobnéj uciechy.

Nie odpowiedział ani słowa. Przyszedłszy do swego pokoju, zabrał się do rachunków, nie zważając bynajmniéj na dochodzący go odgłos muzyki. Niekiedy posłyszał nad sobą lekkie stąpanie — była to Gertruda, która równie jak on czuwała pomimo spóźnionéj pory i równie jak on cierpiała. W miarę jak liczb przybywało na papierze, zbierały się chmury na czole; nareszcie ogarnęło go zwątpienie i pióro wypadło z ręki.

Obraz Malwiny ciągle przesuwał się mu przed oczyma; ach! wszak dla niéj pracował, o nią się troskał, bez najmniejszych samolubnych świadków.

Minęła godzina jedna i druga, gdy nagle ktoś z lekka pocisnął klamkę jego drzwi. Gdy się na ten szelest obejrzał, postrzegł na progu Malwinę. Blade światło lampy źle oświetlało pokój, ale biała jéj suknia cudnie jaśniała wśród ciemności. Ryszardowi zdawało się, że widzi każdy rys jéj twarzy. Lekko i szybko jak cień przysunęła się do niego.

— Ty tutaj, nie jesteś na balu, a wiesz przecie, że dla mnie nie ma przyjemności bez ciebie, rzekła z słodkim wyrzutem, kładąc obie ręce na jego ramionach i opierając rozpalone czoło o jego piersi, jak gdyby chciała wybadać najtajniejsze myśli przyjaciela.

— Malwino, moja ty kochana, rzekł uprzejmie, i ty pośród zabawy myślisz o mnie, pokój, ja o tobie wśród trosk?

— W śród trosk? cóż to za troski? zapytała przestraszona.

— Nie, nie, rzekł prędko, bądź spokojna i idź na górę Malwino. Gdy się zbliżyła ku niemu, objął obiema rękami wiotką jéj kibić, nie wiedząc sam co czyni, dopiero teraz to postrzegł, gdy chciał aby odeszła. Zwolna wypuścił ją z objęć. Dziewczę postrzegło, że jego ręce drżą, i ją niepojęte przejęło uczucie.

— Chodź ze mną, prosiła z przymileniem, ale głos jéj stracił pewność dziecinną, stał się drżącym i nieśmiałym. Malwina była jakby przestraszona, nie wiedząc dla czego.

— Idź, idź, odpowiedział Ryszard pod wpływem wezbranego uczucia, i odsunął ją lekko: nie chciałbym abym cię szukali i ganili za twoją dobroć. Nie jesteś już dzieckiem; moja kochana Malwinka powinna już umieć stosować się do prawideł przyzwoitości.

Ostrożnie położył zarzutkę na jéj ramionach, jak-

by się bał jéj dotknąć. Malwina nie odpowiedziała ani słowa; czy zrozumiała jego radę, czy lękała się Ryszarda, czyli też siebie saméj? Gdy ją odprowadzał do drzwi, była tak wzburzona że drżała jak w febrze. Zbliżywszy się do okna, widział jak biegła przez podwórze ku oświetlonéj sieni, poczem bezwładnie upadł na krzesło.

— Szaleństwo, szaleństwo! zawołał z cicha, trzydzieści ośm lat a jeszcze w sercu burza. Ona dziecko kwitnącéj piękności, a jam człowiek który nigdy nie zaznał wiosny!

Ryszard siedział pogrążony w zadumaniu. Chciał tylko Malwinie zapewnić szczęście, a i to zdawało się mu niepodobnem! Dawno podkopany dobrobyt rodziny Steinlachów zachwiał się groźnie, niedokładna wiadomość którą mu udzieliła pani Georginia, zwiastowała może zupełny upadek. A czy Feliks Amstetten będzie kochał Malwinę i zechce starać się o nią nawet wtedy, gdy się dowie, że jego narzeczona nie ma żadnego posagu? Czyż to wątłe, rozpieszczone dziecko, zniesie takie rozczarowanie zdolne podkopać w niem nazawsze wiarę w świat? Przypominał sobie wszystkie postrzeżenia które podczas krótkiéj obecności w sali balowéj, jak iskry palące na jego serce padały: słowa radcy, że Malwina zmieniła się od przybycia hrabiego, — cichy wykrzyk Amstettena: ach jak mię pani uszczęśliwiasz! wzmianka pani Georginii, że Malwina niecierpliwie czekała balu, — wszystko to bolesnem przejmowało go uczuciem. Kochała go niezawodnie, a nawet powinna była go kochać! Był to przecież przystojny, młody, bo dopiero trzydzieści dwa lat liczący mężczyzna, równie świeży i hoży jak ona. Na jego otwartem, pogodnem czole, nie było widać najlżejszego cienia smutnych wspomnień, gorzkiéj, bolesnéj przeszłości. Śmiała pewność siebie którą okazywał, była tak naturalna, tak potężna, aby serce dziewczęcia pozyskać i napoić je przekonaniem o swojéj wartości. O gdyby Ryszard mógł ją uczynić bogatą i szczęśliwą, ale na nieszczęście, nieroztropność jéj rodziców była większą, niż wszelka jego pomoc i wszystkie starania. Teraz nie myślał już o sobie, przywykł przecież wyrzekać się wszystkiego, o niéj tylko myślał, jakby można ustalić zachwiany byt jéj w przyszłości. Tysiące planów i projektów krzyżowało się w jego głowie, ale wszystkie były do niczego.

Gdyby nie był się tak zatopił w swoich myślach, byłby, usłyszał że właśnie teraz szczególniejszy jakiś hałas wzmógł się na wielkim dziedzińcu, gdzie od pewnego czasu zbierał się coraz gęstszy tłum ludu. W tem jeden z komisantów przerażony, prawie bez tchu wpadł do pokoju i wyrwał go z głębokiego zadumania.

— Panie Hood, zawołał trwożliwie, robotnicy się zbuntowali! Chodź pan prędko i przywróć spokojność, nim będzie zapóźno. Pan Steinlach zniżył im zapłatę tygodniową, co ich oczywiście rozdrażniło; teraz więc, gdy widzą cały dom oświetlony i przystrojony, rozruch wybuchł na dobre. Mówią że tam marnują chleb, który pan Steinlach odebrał ich dzieciom zgłodniałym, że tam trwonią na zbytki ciężko zarobiony ich grosz, podczas gdy oni muszą cierpieć głód i marznąć. Poszaleli prawie; chcą okna wybijać, grożą śmiercią pani Steinlach, inni zaś chcą popsuć maszyny, aby pana Steinlach przyprowadzić do takiéj nędzy, w jakiéj sami z jego przyczyny są pogrążeni.

Ryszard zerwał się blady jak ściana, — w jednéj chwili pojął całe niebezpieczeństwo. Robotnicy lubili go i ulegali zawsze jego wpływowi; jeżeli tylko zechcą go słuchać, fabryka będzie uratowana. Ale w około tego skrzydła domu w którym była fabryka, kilkuset ludzi stało w masie zbitéj jak mur; nimby się do nich przecisnął, zanimby się mógł pokazać przywódcom usiłującym wywarzyć drzwi, byłoby już może po wszystkiem. Nic mu nie pozostawało, jak wyjść naprzeciwko nich z wnętrza domu, przez magazyn, gdzie mógł sam drzwi otworzyć, aby się rzucić na szturmujących. W mgnieniu oka wybiegł po schodach i minął korytarz wzdłuż wspaniałych, rzęsisto oświetlonych komnat. Tam brzmiała muzyka zmieszana z wrzawą wesołych głosów, nikt się nie domyślał, że na dole, na ciemnym podwórzu, przygotowuje się straszna katastrofa. Gdy otworzył swój pokoik, wyszła z ciemności naprzeciw niemu Georginia, zmieszana, zdjęta trwogą śmiertelną; wiedziała już o wszystkiem.

— Na Boga, panie Hood, ratuj nas, ratuj nas! wołała głosem stłumionym, zdaje mi się że już drzwi wyważyli.

Nie zdziwiło go że pani Steinlach tam przyszła, sądził że sama chce mówić z ludźmi.

— Uspokój się pani, prosił odsuwając ją, niech pani każe najprzód zamknąć drzwi i okienice na dole, przecież pani nie pójdziesz ze mną.

To powiedziawszy zniknął i zamknął drzwi za sobą. Pani Steinlach słyszała jeszcze jak zasuwał rygiel, aby nie powołani i obcy nie przyszli mięszać się w niebezpieczną sprawę. Po omacku biegł naprzód. W magazynach przytykających do jego pokoju, a napełnionych bawełną, nie używano światła przez ostrożność, ale Ryszard znał tutaj każden kąt.

Pani Georginia stała tymczasem na korytarzu, blada, wargi jéj drżały, oddech szybko wylatywał z piersi, czekając niecierpliwie rychło Ryszard da znać, że dzika tłuszcza już się wdziera do domu.

W sali muzykanci przygrywali, głos ten szumiał jéj w uszach i przyprawiał ją prawie o utratę zmysłów. Lecz cóż to? ktoś krzyknął okropnym, przerażliwym głosem. Głos to był kobiecy; jakżeż straszne przyniósł jéj słowo!

— Ogień, ogień! wołano rozpaczliwym głosem.

— Pali się, — ratunku, ratunku! powtórzył głos męzki i zarazem w głębi gabinetu Ryszarda dały się słyszeć silne uderzenia do drzwi.

Pani Georginia osłupiała: tam była bawełna, wór na worze — ani myśleć o ratunku! Już migotało światło pomiędzy szparami drzwi.

— Otwórzcie, otwórzcie! wołał z wewnątrz rozpaczliwy głos męzki. W chwilę później ten, co wołał o pomoc, znalazł zasuwkę i drzwi się rozwarły.

Teraz dopiero gdy pani Georginia ujrzała falujące morze płomieni, odzyskała życie i mowę: z głośnym krzykiem rzuciła się naprzód, otwarła drzwi sali balowéj i przerażonym gościom zwiastowała okropną wiadomość.

Na korytarzu, obok otwartych drzwi od pokoju Ryszarda, za którym huczał pożar, leżała na ziemi Ingeborga, jęcząc okropnie. Suknie jéj i włosy były spalone, dymiły się jeszcze pod strumieniem zimnéj wody, którą wylewał na nią jakiś nieznajomy mocno zarośnięty mężczyzna.

W strasznem zamięszaniu przeciskał się tłum przez otwarte drzwi na schody, aby się dostać na otwarte powietrze i uciec z pobliża pożerających wszystko płomieni, gorąca i dymu wdzierającego się przez rozwarte drzwi gabinetu. Przemocą unoszono w pół omdlałe kobiety, podczas gdy drugie całkiem bezprzytomne tuliły się do krzeseł i kanap, patrząc na czerwone światło morza płomiennego.

Ryszard ostatni dowiedział się o tem nieszczęściu. W ciemnéj sieni, mającéj tylko dwa okna opatrzone okienicami i zaryglowane sztabami żelaznemi, tudzież grube drzwi dębowe, nadaremnie szukał klucza. Słyszał wprawdzie że tumult się wzmaga, lecz przypisywał to wzrastającemu wzburzeniu robotników, i miał nadzieję, że jeźli wyważy drzwi, niespodziewana jego obecność nawet w chwili największego roznamiętnienia zdoła ich przywieść do upamiętania. Ale hałas wzmagał się, krzyk dolatywał jego uszów, przejęła go więc trwoga, że jeżeli nie zdołają wyważyć drzwi, gotowi podpalić cały dom. Pobiegł więc szybko na górę, lecz tu uderzył go dym, a gdy otwierał drzwi wielkiéj sali roboczéj, ujrzał szybko rozszerzający się pożar.

Jakby piorunem rażony stanął, nie wiedząc co począć, lecz za chwilę odzyskał siły i przytomność. W rozpaczy rzucił się napowrót ku drzwiom.

— Wyważcie drzwi! krzyknął z całéj siły, ja tu jestem i nie mogę wyjść, spieszcie się, nie ma czasu do stracenia.

Głos ten, któremu nawykli ulegać, wywarł na chwilę pewien wpływ; przestali się dobywać i pozatrzyli na siebie w zdumieniu. Nie wiedzieli wcale o powrocie Ryszarda, a teraz znalazł się nagle w płonącym budynku.

— Pan Hood tam jest, ratunku! krzyknęło kilku. Dawajcie siekier i drabinę!

Ale zagłuszył wszystkich potężny głos przywódcy buntowników:

— Niech się spali, niech spopieleje ten niegodziwiec! krzyknął pijany niepoń olbrzymiego wzrostu. On sam podpalił. Widzicie teraz, że pan Steinlach zbankrutował naprawdę. Powywoził wszystko co miało jaką wartość, a teraz pan Hood który z nim trzyma, podpalił budę. O nas, o naszych żonach i dzieciach żaden z nich nie pomyślał. Niech się więc spali ten łotr, niegodziwy!

Niedawno zabierali się do burzenia maszyn, ale teraz cała ich wściekłość zwróciła się przeciwko temu, który, jak im się zdawało, uprzedził ich, chociaż w inny sposób. Pierwotnie zamierzali wyrządzić tylko swemu chlebodawcy dotkliwą szkodę, która dla nich nie byłaby zgubną, ponieważ właściciel fabryki mógł wkrótce postawić nowe maszyny, lecz teraz, gdy wszystko ulatywało z płomieniem, ujrzeli się nagle bez chleba; zawrzało więc w nich inne uczucie, uczucie zemsty przeciwko domniemanemu sprawcy ich nędzy.

Na dziedzińcu tymczasem najokropniejsze panowało zamięszanie; panie, panny w lekkich strojach balowych mięszały się pomiędzy opiłych, i do szaleństwa wzburzonych robotników, szukając rozpaczliwie mężów swoich i ojców. Panowie we frakach i glansowanych rękawiczkach, cisnęli się do stajni, aby jeżeli się da, pozaprzęgać konie chociażby własnemi rękami; konie spłoszone, niespokojne, jeszcze bardziéj powiększały trudny do opisania zgiełk, gdy w ogólnem zamięszaniu trudno było poznajdywać zaprzęgi i siodła.

(d. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 34.

N. 28. Haft na okrągłe dno do koszyczka lub przykrycie do pudełka.

Powyższy wzór, podany w naturalnéj wielkości, służyć zarówno może do przyozdobienia dna lub przykrycia koszyczka, jak i okrągłego pudełka, tak dogodnego na kołnierzyki i negliżyki.

Bukiet środkowy, haftuje się ściegiem płaskim, kordonkami różnokolorowemi, na tle białem sukiennem lub kaszmirowem. Otaczająca go rama, jest koloru jasno brązowego lub popielatego. Deseń wyszyty kordonkami odpowiednich kolorów, ściegiem łańcuszkowym i długim. Gwiazdy dane w ząbkach przytwierdzają zarazem ramę do tła bukietu.

N. 29. Ubranie z tuniką i chusteczką muślinową.

Do sukni jedwabnéj jasnego koloru z szeroką falbaną, dodana jest tunika, chusteczka i mankiety z białego muślinu. Takie same przybranie służyć może do sukien wełnianych lub jednokolorowych batystowych i perkalowych na spacerowe ubranie.

Zwyczajna krzyżowa chusteczka, któréj proste brzegi, mają 68 c. długości z tyłu, pod szyją założona jest w trzy fałdy, końce skrzyżowane na piersiach, z tyłu chowają się pod szarfę z końcami. Garnirunek tak chusteczki, jak prosto krajanéj tuniki, stanowi plisowana falbana z nagłówkiem, 10 — 12 c. szeroka, przeszyta czarną lub kolorową aksamitką.

N. 30. Suknia z lekkiego materjału ze szlakiem pasowanym.

Ubranie to odznacza się głównie tuniką, któréj bryt przedni ma kształt fartuszka zaokrąglonego u dołu, proste zaś tylne bryty, nieco zaokrąglone u dołu i skrócone ku przodowi, garnirują się wkoło falbaną, środkiem pliską skośną przeszytą; takaż falbana ubiera dół przedniego bryta tuniki i szerokie otwarte rękawy. Boki tiuniki łączy szew, tylne zaś bryty zgrabne kokardy, co nader świeżo wygląda. Takaż kokarda spina z przodu szelki.

N. 31. Paletocik muślinowy.

Do wszelkich sukien letnich jak i do spódnic alpagowych lub jedwabnych, paletocik ten służyć może jako ładne wykończenie ubrania. Przy białéj muślinowéj sukni, podobny garnirunek naszyty na spódnicy, złoży pełną harmonji całość. Paletocik kraje się podług zwykłéj luźnéj formy, poszerzając środkiem pleców na potrójną kontrafałdę, która zeszywa się raz na zawsze pod szyją i przepina wzdłuż trzema rozetami haftowanemi lub szydełkowemi. W stanie opasuje się paletocik paskiem, przy którym z tyłu dodana kokarda. Z przodu stosownie do woli, paletocik zapina się pod szyję, lub daje wykrój podłużny, poły także mogą zakładać się jedna na drugą lub cokolwiek niedochodzić, i być dłużéj lub krócéj przykrojone. Bardzo szerokie, zwierzchu aż za łokieć rozcięte rękawy, spina w pewnym od góry odstępie rozeta. Garnirunek stanowią trzy lub cztery jedna na drugą zachodzące plisy, u dołu szeroką koronką, u góry wązkim haftowanym szlaczkiem i węższą koronką kończone.

Takiż sam paletocik do sukien jedwabnych kolorowych lub czarnych, zrobiony być może z czarnéj g[illegible]. Plisy będą wtedy z grenadiny lub materji czarnéj, [illegible] te koronką lub skośną falbaną.

N. 32 i 33. Dwie spódnice do kostiumów.

Przy tak upowszechnionéj w tym roku modzie, noszenia tunik i staników lub kaftaników czarnych kaszmirowych, grenadinowych, z wyrobów wełnianych lub jedwabnych w czarne paski albo kratki, przy odmiennych wełnianych lub jedwabnych spódnicach, podajemy dwie spódnice, z odmiennym garnirunkiem, z których każda do kilku tiunik służyć może.

N. 32. Spódniczka z plisowanemi falbanami i wyszyciem z sutaszu.

Każda falbana zakończona jest w górze pliską, nad którą wyszyty wązki desenik sutaszem.

N. 33. Spódnica z garnirunkiem naszytym w ślimak.

Skośna falbanka około 60 cent. długa, 10 — 12 cent. szeroka, ku górze zwężona, w płaskie zęby wycięta i rulonikiem objęta lub odziergana z obydwóch brzegów, przemarszcza się w ten sposób, iżby część górna stanowiła nagłówek. Następnie układa ją się w ślimak, przeszywa skośną wązką pliską i zakończa w górze kokardką ze wstążki.

Opis N. 35.

N. 1. Spacerowe ubranie z batystu „écru".

Cokolwiek powłóczysta spódnica, przybrana stebnowanémi zakładami i wstawkami gipiurowemi, naszytemi na tle niewarowem. Przy tiunice, karoczku i szerokich rękawach wstawka gipiurowa wszyta przezroczysto, brzegiem dodany szeroki szlak gipiurowy. Na staniku, wstawka tworzy śpiczasty kołnierzyk, a wykrój podłużny, oszyty szlaczkiem. Pamela z białéj słomy brukselskiéj, ubrana czarnym koronkowym tiulem, pomiędzy bufy którego, wpięte białe astry, z boku ptak i końce tiulowe.



N. 1. Spacerowe ubranie z batystu „écru." N. 2. Suknia z płócienka „écru." N. 3. Sukienka z białego pół-batystu dla małéj dziewczynki.

N. 2. Suknia z płótna „écru".

Dolny szerszy wolant, jest marszczony, górny węższy, ułożony w dość znacznych odstępach w kontrafałdy. Osobne kawałki, nakształt wachlarzy, w fałdy ułożone zastępują nagłówek. Szlak sutaszem wyszywany, przytwierdza górny wolant i naszyty jest u dołu na obydwóch. Takiż szlak zdobi klapy rękawów i stanik. Deseń szlaku podajemy pod N. 6.

N. 3. Sukienka z białego batystu dla małéj dziewczynki.

Krój sukienki jest zwykły i znany, podajemy ją tu jedynie dla garnirunku, który odznacza się świeżością i elegancją. Skośna plisa środkowa, 10 — 12 cent. szeroka ułożona, jest w wązkie niezaszywane zakładki u dołu i w górze, wązką stebnowaną pliską zamocowane. Pliski te przykrywają zarazem przyszycie muślinowych dzierganych falbanek, z których górna znacznie jest węższa od dolnéj.

N. 4 — 7. Desenie na falbany i szlaki do sukien letnich.

Z sutaszu, perełkowo kręconego sznureczka, plecionki „mignardise" z dodaniem łatwych i szybkich w wykonaniu ściegów, układa się rozmaite, tak dziś upowszechnione wyszycia szlaczków i falban do sukien letnich.

N. 4. Zęby z plecioneczką „mignardise" do sukien pikowych lub „écru."

Plecionka przyszywa się przez wierzch, ściegiem okrętkowym, jedwabiem czarnym. Następnie brzeg materjału zamocowywa się z lewéj strony i wycina, poczem dopiero, dodaje się ząbki dziergane, jakich zwykle używa się przy koronkach irlandzkich i szydełkowych.

N. 5. Ząbki z tasiemeczką mignardise stębnowane.

Całą różnicę od N. 4 stanowi przyszycie plecionki mignardise, to jest że zamiast ściegu okrętkowego, daje się w równych odstępach, pojedyncze ściegi stębnówki, jedwabiem czarnym. Ząbki dziergane, w obydwóch, odrabia się kręconą bawełną białą.

N. 6. Szlak do letnich sukien wyszyty szerokim, kręconym sutaszem.

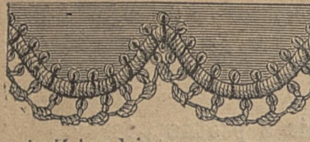
Szlak ten przydzierguje się naprzemian, ściegami czarnego jedwabiu i białéj kręconéj bawełny.

N. 7. Szlak sutaszem wyszyty z dodaniem aplikacji gwiazd szydełkowych, na falbany do sukien letnich.

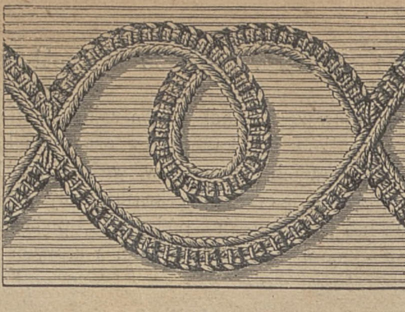
Tak jak na N. 6 sutasz, perełkowym zwany, przyszywa się dwukolorowym ściegiem dzierganym. Rozeta z nawijanych pikotów, których robotę opisywaliśmy w przeszłym numerze Tygodnika, odrobioną być może z łatwością bez nowych objaśnień, i dokładnego rysunku.

N. 8 — 9. Dwa rodzaje frendzli z szydełkową pasmanterją.

Podług dołączonych wzorów, z łatwością można odrobić piękne frendzle z jedwabiu lub włóczki, albo z ba


N. 4. Zęby dziergane do sukien letnich.


N. 8. Frendzla ze zwykłemi pikotami.


N. 6. Szlak do letnich sukien wyszyty sutaszem.


N. 9. Frendzla z nawijanemi pikotami.


N. 5. Zęby zakończone plecionką mignardise do sukien letnich.

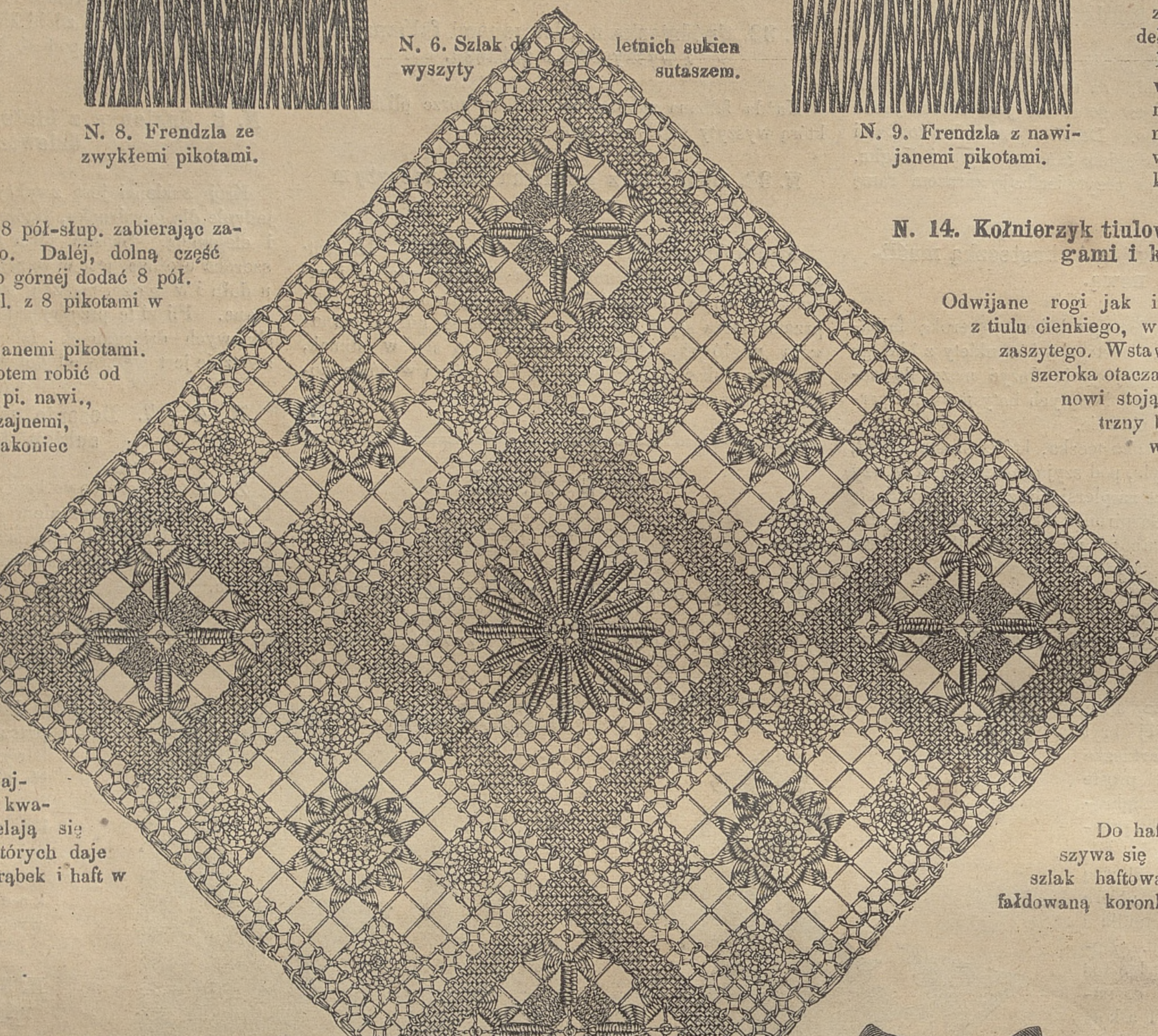
wełny „écru" lub białéj. Pasmanterję stanowią pojedyncze koła, bocznemi pikotami połączone, przy N. 8 kwasty przyrabiają się w ten sposób iż dolną część koła zakrywają. Przy N. 9 całe koła są na wierzchu.

N. 8. Frendzla ze zwykłemi pikotami. Kółko z 15 o. l. obrabia się 18 pół-słup. zabierając zawsze za 1 nitkę o. luźnego. Daléj, dolną część koła, obrobić o. łań., a do górnéj dodać 8 puł. słup. przedzielanych 1 o. l. z 8 pikotami w górze.

N. 9. Frendzla z nawijanemi pikotami. Zrobić kółko z 16 o. l., potem robić od góry, 1 o. ści., 3 o. l., 5 pi. nawi., przedzielonych 4 pi. zwyczajnemi, 3 o. l., 1 o. ści. 5 o. l., nakoniec od dołu 18 pół-słupków.

N. 10. Kwadrat z siatki gipiurowéj.

Pojedynczy, służyć może na poduszeczkę na podszewce z kolorowego atłasu; z połączonych kwadratów, zrobić można piękną poduszkę lub kapę. Najczęściéj jednak na kapy, kwadraty siatkowe, przedzielają się kwadratami z płótna, u których daje się szeroki stębnowany obrąbek i haft w środku.


N. 10. Kwadrat siatki gipiurowéj, na serwetki lub zasłony na meble.

w pewnych odstępach rozetami haftowanemi, szydełkowemi lub z frywolitek. Kawałek wstążki kolorowéj 15 c. długi, 3 c. szeroki, w końcach wysiepany, środkiem w węzeł zawiązany, stanowi kokardę.

N. 14. Kołnierzyk tiulowy z odwiniętemi rogami i końcami.

Odwijane rogi jak i końce, przykrawa się z tiulu cienkiego, w drobne, proste zakładki zaszytego. Wstawka koronkowa $1\frac{1}{2}$ c: szeroka otacza, części plisowane i stanowi stojąyc kołnierzyk. Zewnętrzny brzeżek wstawki, oszyty wązkim na tiulu haftowanym szlaczkiem, który zachodzi na plisowaną koronkę. Zeszycia pokrywwązka stębnowana pliska. Kokarda z kolorowéj wstążki stanowi spięcie.

N. 15. Gładki haftowany mankiet.

Do haftowanéj wstawki, przyszywa się od dołu gładko szeroki szlak haftowany, do góry daje się fałdowaną koronkę. Mankiet ten służyć może do wązkich rękawów lub stanowić przybranie rękawów bluzki.

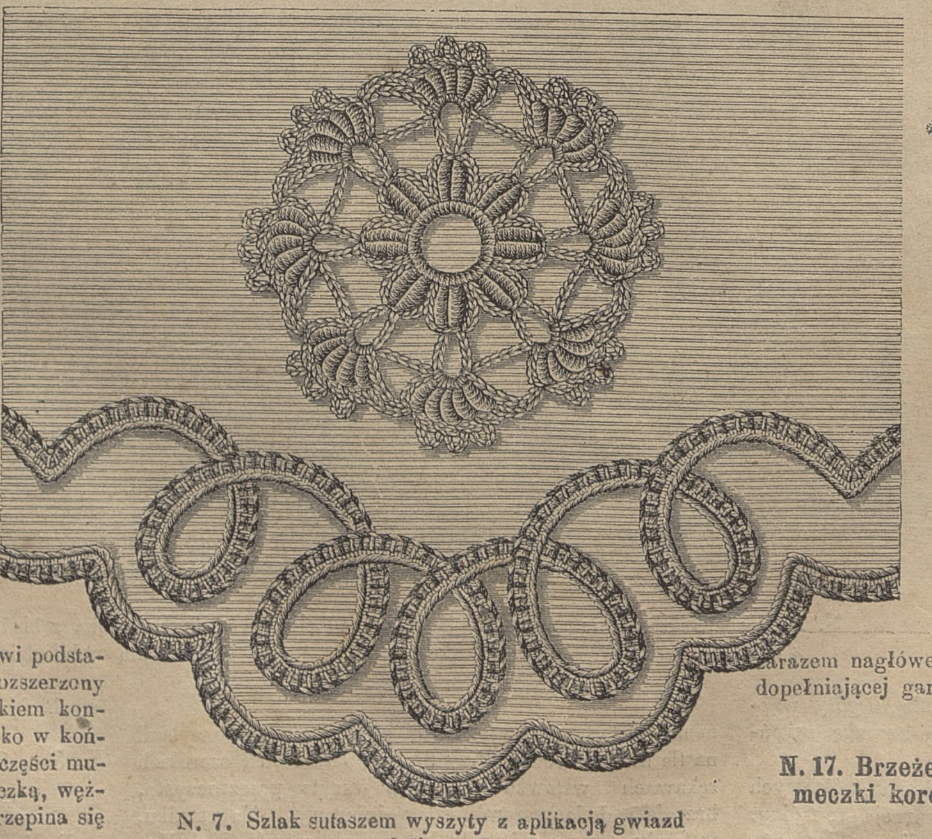

N. 13. Kołnierzyk krawatowy z muślinowy.

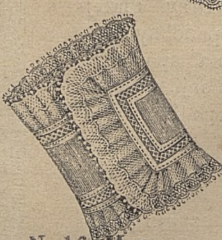

N. 11. Kokarda wiązana z frendzlą siepaną.


N. 12. Kokarda z przyszytą frendzlą.


N. 14. Kołnierzyk tiulowy z odwiniętemi rogami.


N. 15. Mankiet haftowany.


N. 7. Szlak sutaszem wyszyty z aplikacją gwiazd szydełkowych.


N. 16. Mankiet garnirowany koronką.

N. 11. Kokarda ze wstążki rypsowéj z frendzlą siepaną.

N. 12. Kokarda ze skosów materji z frendzlą przyszytą.

N. 13. Kołnierzyk krawatowy z muślinu.

Skośny kawałek muślinu 80 c. długi, stanowi podstawę kołnierzyka, jest on zwężony w środku, a rozszerzony i ścięty w końcach. Wzdłuż, układa się środkiem kontrafałdę 2 i pół cent. szeroką, z pod któréj tylko w końcach 12 c. długo, wystają pojedyncze kliniaste części muślinu. Kołnierzyk oszywa się w koło koronećzką, węższą u góry a szerszą u dołu. Kontrafałdę, przepina się

N. 16. Mankiet garnirowany koronką.

Prosto ukrojony cienki webowy mankiet, oszywa się do koła wstawką, któréj brzegi zamocowane są pliską webową stębnowaną. Pliska ta stanowi zarazem nagłówek falbanki muślinowéj, koronką oszytéj, dopełniającej garnirunek.

N. 17. Brzeżek do bielizny, dla dzieci z tasiemeczki koronkowéj i szydełkowéj roboty.

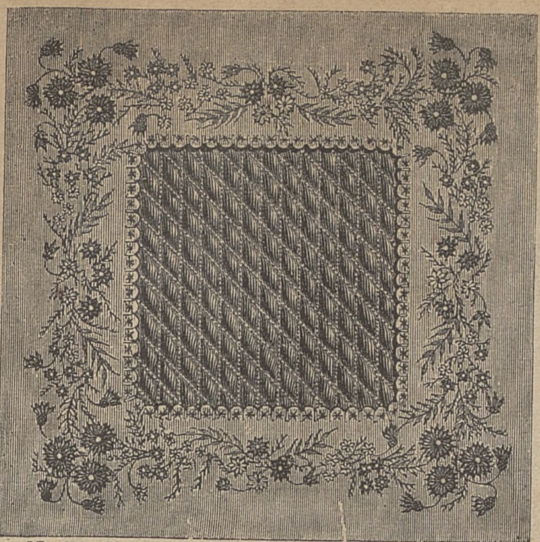
Pierwszy rząd ząbków, składa się z 3 o. luźnych przy-



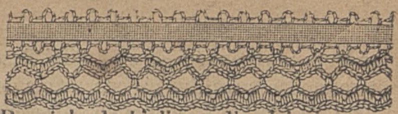
N. 17. Brzeżek do bielizny dla dzieci z tasiemeczki koronkowéj i szydełkowéj roboty.



N. 19. Koroneczka z plecionki mignardise i frywolitek.



N. 21. Poduszka na kanapę. Haft kolorowy.



N. 18. Brzeżek do bielizny dla dzieci z tasiemeczki koronkowéj i szydełkowéj roboty.

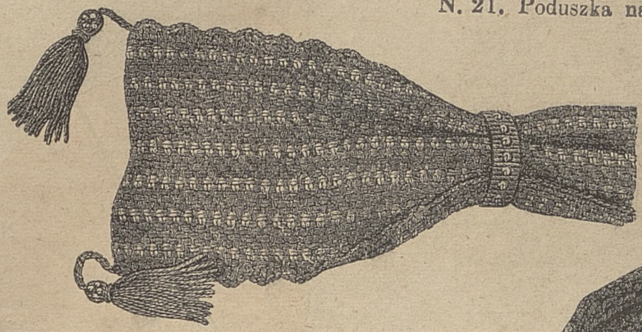


N. 20. Koroneczka z plecionki mignardise i szydełkowéj roboty.

robionych 1 o. ścisłem w pikot tasiemeczki. Ząbki drugiego rzędu mają po 5 o: luźnych, przyrobionych 1 o: ścisłem. Na ostatni rząd ząbków pikotowych robi się ciągle. 4 o; l: 1. o: ści: w przedostatnie luźne, 1 pół słu. i jeden cały słu: w dwa następujące l. i 1 o: ścisłe.

N. 18. Brzeżek do bielizny z tasiemeczki i roboty szydełkowéj.

Tak liczba oczek luźnych stanowiących duże i małe ząbki, jak i obrobienie oczkami ściślemi, widoczne są na wzorze. Opis więc szczegółowy byłby zbyteczny.



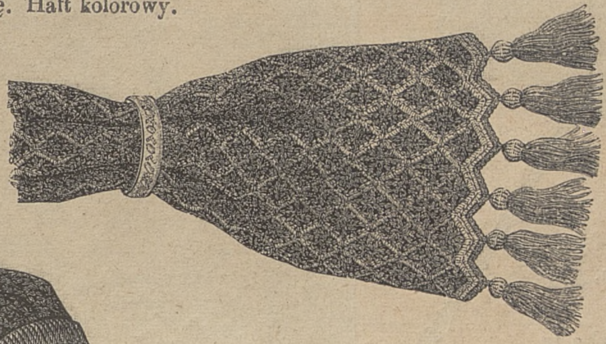
N. 23. Sakiewka w paski. Robota szydełkowa Zobacz ryc. 24.

N. 19. Koroneczka z plecionki „mignardise“ i frywolitek, robionych dwiema nitkami.

Płaskie łuki z 11. pod: wę: z 1 pikotem w środku, stanowią pierwszy rząd frywolitek. Rząd drugi od spodu wychodzący, otrzymuje na każdy ząb: 4 pod: wę. 1 pi. na który zęby łączą się z sobą, 2 pod. wę. 3 pik. przedzielane 1 pod. węz. 2 podwójne węz. 1 pi. 4 pod. węz. Zęby te łączy się pikotami do dwóch pikotów mignardise, pozostawionych w środku ząbów pierwszego rzędu, dodając między pi. 2 pod. węzełki. Od góry plecionka obrabia się szydełkiem, dając w każdy pikot 3 całe słupki.

N. 20. Koroneczka z plecionki „mignardise” i szydełkowéj roboty.

W pierwszym obrobieniu ząbków powtarza się ciągle 1 o. śc. w pikot plecionki 7 o. l. 1 śc. w najbliższy pikot. Poczem znajdującą się na igle pentelkę potrzeba wyciągnąć tak długo, ażeby można zrobić 1 o. ści. w 4 l. z poprzedzających o. l. potem dodać 1 o. l. i obrobić 4 o ści. pozostałe o. luzne. Cokolwiek większe ząbki następującego rzędu, robią się tymże samym sposobem, tylko zamiast 7, daje się 9 o. l. przeciąga pętelkę do o. 5, robi 1 l. resztę obrabia 7 ści. o. i przyczepia do rzędu poprzedzającego 1 o. ścisłem.



N. 25. Sakiewka szydełkowa w kratkę. Zobacz rycinę 26.

N. 21 i 22. Poduszka na kanapę albo kapa.

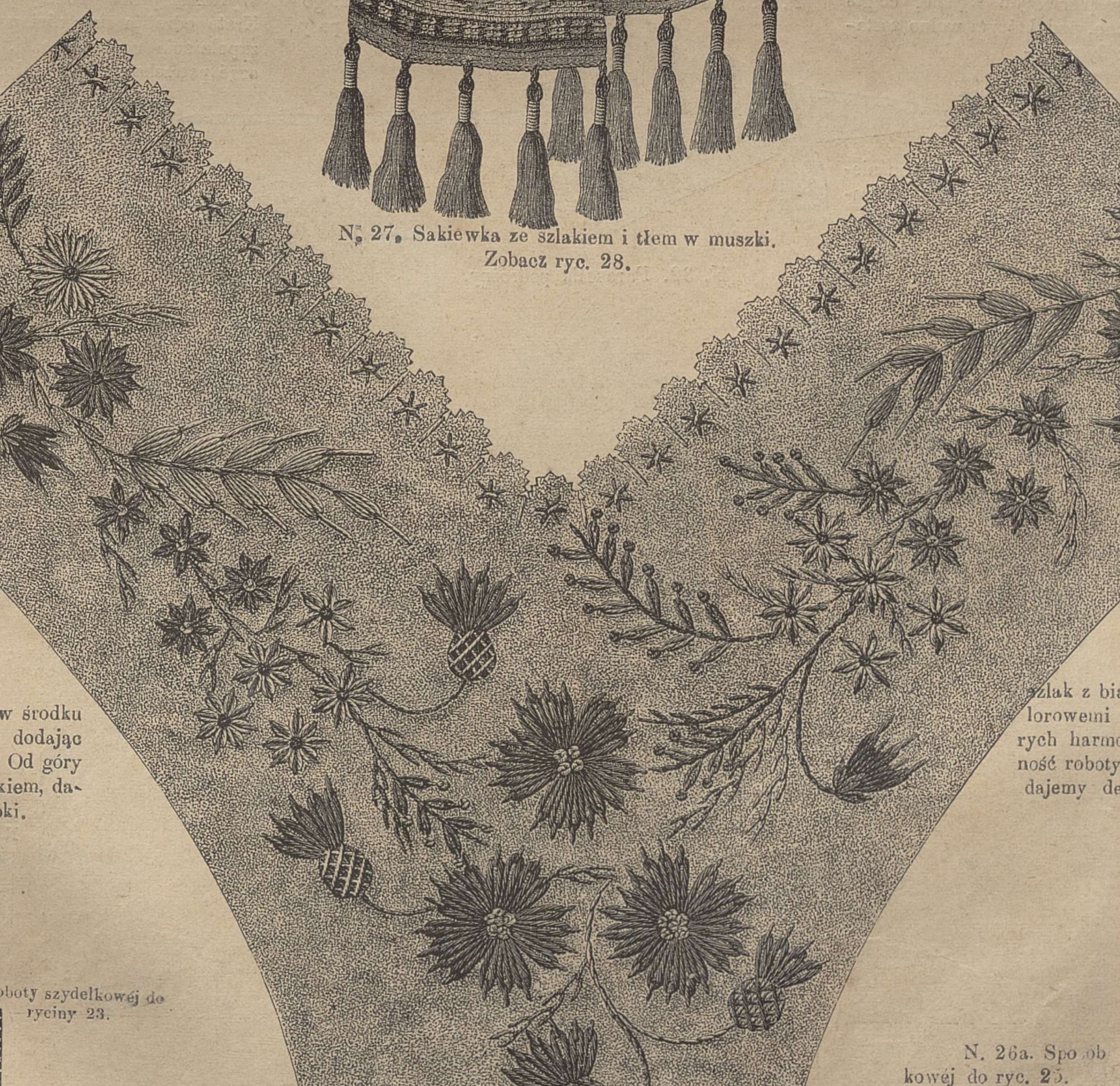
Haft kolorowy i stembnówka.

Materjał: kolorowy atłas, białe sukno, kordonki do cieniu orzechowe i zielone, filozela biała, niebieska, zielona, lila, karmazynowa i żółta.

Kwadrat niebieskiego atłasu w skośną kratkę przestębnowany kordonkiem białym, zajmuje środek poduszki lub kapy. Obłożenie czyli szlak z białego sukna, haftuje się kolorowemi kordonkami i filozelą, których harmonijny dobór, główną piękność roboty stanowi. Pod N. 22 podajemy deseń narożnika w naturalnéj



N. 27. Sakiewka ze szlakiem i tłem w muszki. Zobacz ryc. 28.



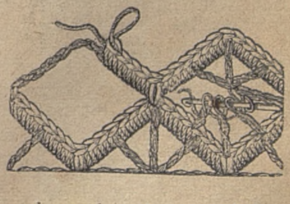
N. 22. Haft różnokolorowy na suknie. Szlak narożny do poduszki ryc. 21.



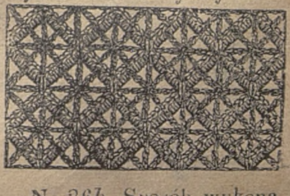
N. 24. Sposób wykonania roboty szydełkowéj do ryciny 23.



N. 28.



N. 26a. Sposób wykonania roboty szydełkowéj do ryc. 25.



N. 26b. Sposób wykonania roboty szydełkowéj-

wielkości, na którym dokładnie oznaczone są rodzaje użytych ściegów. Boki deseniu łatwo można przedłużyć, stosownie do potrzebnéj wielkości. Korzonki i gałązki robić trzeba kordonkami zielonemi i orzechowemi do cieniu, kwiaty zaś filozelą odpowiednio dobraną. Kielich habru robi się wypukło kordonkiem zielonym, i pokrywa kratką z kordonku orzechowego. Małe ośmio listne kwiatki są niebieskie, ze środkami żółtemi i różowe z białemi. Na astry używa się koloru białego, lila, karmazynowego i różowego.



N. 30. Parasolik z garnirunkiem plisowanym.



N. 29. Kostium z materjału gładkiego i w pasy.

N. 23 i 24. Sakiewka w paski, robota szydełkowa w dwóch kolorach.

Zobacz próbkę ściegu N. 24.

Materjał: Niebieski i kanarkowy kordonek; 2 stalowe obrączki.

Niebieski i kanarkowy kolor wzoru, zastąpiony bydź może innemi, podług gustu dobranemi. Do 7 cent. szeroko zacząć potrzeba robotę wzdłuż, łańcuszkiem 55—60 cent. długim, w kółko spojonym. Potem podług próbki ściegu N. 24 robić luźno w pierwszym rzędzie, ciągle na przemian, 1 o. ści. 1 luźne, pod którym wolno zostawiać oczko łańcuszka. Rzędy następne robi się tym samym sposobem, uważajac tylko, żeby oczy luźne wypadały nad ścisłemi oczami, zaś ści. zajmując oczy luźne w poprzedzającym rzędzie. Obrobiwszy dwa razy kolorem niebieskim, robi się raz kanarkowym, potem co cztery obrobienia niebieskie, jedno kanarkowe, gdy zaś sakiewka jest odpowiednio szeroka, po ostatnim rzędzie kanarkowym dać dwa niebieskie. Dorobiwszy do połowy szerokości, potrzeba w jednéj stronie zostawić otwór, w tym celu, z brzegów po $9\frac{1}{2}$ cent długo robi się jednym ciągiem, w środku zaś zostawić jedną część luźną, drugą zacząć oczami łańcuszka. Obadwa podłużne brzegi sakiewki łączy się jak to wzór wskazuje ząbkami, na które (zabierając od obydwóch stron przeciwległe oczy łańcuszka) daje się 1 o. ści. 1 p. słu. 2 całe słup. 1 p. sł. 1 o. ścisłe. Końce sakiewki ozdobione są kwastami z niebieskiego kordonku, których główka wyszyta supełkami kanarkowemi. Obrączki gładkie stalowe owija się gęsto kordonkiem niebieskim i ozdabia supełkami kanarkowemi.

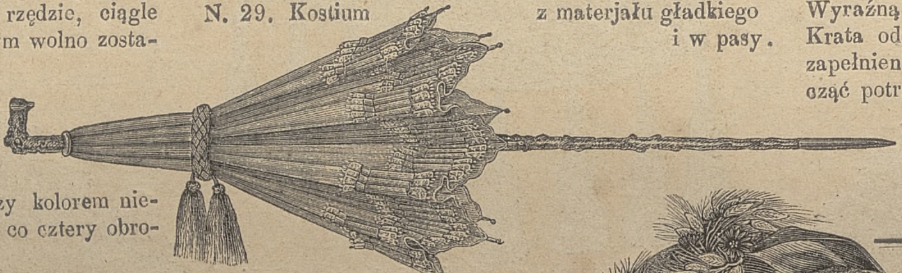


N. 31. Parasolik garnirowany falbankami.

N. 25—26. Sakiewka szydełkowa w kratę.

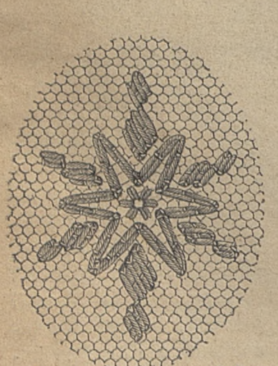
Materjał: Niezbyt gruby szary niciany kordonek, zielony jedwab kordonkowy, 12 dużych perełek brązowych, 2 brązowe obrączki.

Sakiewka 36 cent. długa, $6\frac{1}{2}$ szeroka, robi się wzdłuż. Wyraźną próbkę roboty przedstawia rysunek 26 a i b. Krata odrabia się z nicianego kordonku, wewnętrzne jéj zapełnienie czyli pajączki, z kordonku zielonego. Zaczząć potrzeba od 240 o. łań. które stanowić będą długość jednéj strony, sakiewka nie robi się w koło; łańcuszek obrabia się 360 ocz. ści. dodając co 12 o. ści. jedno oczko luźne.

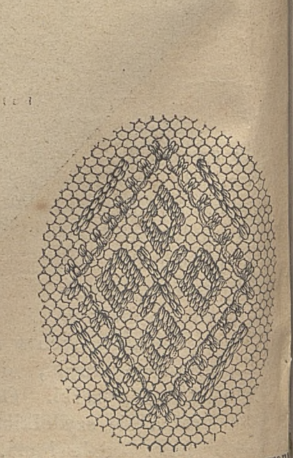


N. 32. Parasolik podróżny.

Dalszy ciąg opisu N. 35 nastąpi w dodatku N. 36 Tygodnika Mód.

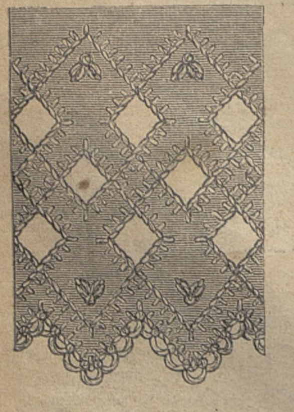


N. 33. Medaljon tiulowy wyszywany.



N. 34. Medaljon tiulowy wyszywany.



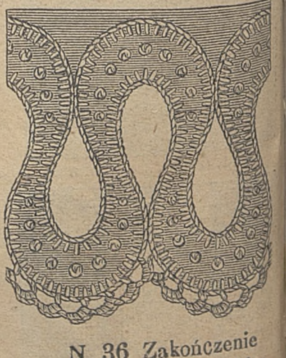


N. 35. Zakończenie falban do sukien letnich.

N. 37. Okrągły kapelusz z wąskim rondkiem.

N. 38. Kapelusz okrągły pamela.

N. 39. Duży okrągły kapelusz.



N. 36 Zakończenie garnirunków do sukien letnich.